ŁOWIEC POLSKI



Naganka na linję!... Fot. M. Lissowski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 34 (918) 1 GRUDNIA 1938 R.

CENA ZŁ. 1.–



Ordynat Dawidgródecki, Książę Karol Radziwiłł, z rosochami ubitego przez siebie łosia w czasie wabu 1938 r.

OD REDAKCJI

STALE WZRASTAJĄCE UZNANIE I POPARCIE, JAKIEM W SZEROKICH KOŁACH MYŚLIWYCH MOŻE POSZCZYCIĆ SIĘ „ŁOWIEC POLSKI", POZWALA NA TO, ŻE ZNOWU JESTEŚMY W MOŻNOŚCI OBNIŻYĆ PRENUMERATĘ.

Z DNIEM 1 STYCZNIA 1939 R. „ŁOWIEC POLSKI" KOSZTOWAĆ BĘDZIE TYLKO 24 ZŁ. ROCZNIE, A DLA CZŁONKÓW POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO — 20 ZŁ. ROCZNIE.

RADOSNĄ TĄ WIADOMOŚCIĄ DZIELIMY SIĘ ZE WSZYSTKIMI NASZYMI PRENUMERATORAMI, UFAJĄC, ŻE BĘDĄ ONI I NADAL OCENIAĆ NASZE WYSIŁKI W SPOSÓB POZWALAJĄCY NAM NA PODNOSZENIE POZIOMU NASZEGO PISMA Z JEDNOCZESNEM OBNIŻANIEM JEGO CENY.

ZAWIADAMIAMY RÓWNIEŻ, ŻE ZAJDZIE ZMIANA W TERMINACH UKAZYWANIA SIĘ „ŁOWCA POLSKIEGO" I ŻE OD 1 STYCZNIA 1939 R. WYCHODZIĆ ON BĘDZIE DWA RAZY NA MIESIĄC, W OBJĘTOŚCI ODPOWIEDNIO ZWIĘKSZONEJ, 24-ch I 32-ch KOLUMN NA ZMIANĘ. W TEN SPOSÓB PRENUMERATORZY I CZYTELNICY „ŁOWCA POLSKIEGO" NIETYLKO NIE STRACĄ NIC NA WPROWADZENIU INNEGO SYSTEMU WYDAWANIA „ŁOWCA POLSKIEGO", LECZ PRZECIWNIE, ZYSKAJĄ OSIEM KOLUMN DRUKU MIESIĘCZNIE.

PRÓCZ TEGO POSTANOWILIŚMY WYDAĆ W POSTACI BROSZURY PRACĘ P. STANISŁAWA HOPPEGO P. T. „POLSKI JĘZYK ŁOWIECKI", KTÓRĄ PRZEZNACZAMY DLA PRENUMERATORÓW „ŁOWCA POLSKIEGO" ZA CENĘ WŁASNYCH KOSZTÓW — 1 ZŁ.

WYRAŻAMY PRZEKONANIE ŻE BĘDZIE TO POWITANE PRZEZ WSZYSTKICH Z ZADOWOLENIEM, GDYŻ W DZIEDZINIE JĘZYKOWEJ PANUJE W PIŚMIENNICTWIE ŁOWIECKIEM WIELKI CHAOS, KTÓREMU PRZECIWSTAWIĆ SIĘ ZAMIERZA TA PRACA.

W ŁĄCZNOŚCI Z TEM PROSIMY WSZYSTKICH PRENUMERATORÓW O WPŁACENIE W PIERWSZEM PÓŁROCZU, W PIERWSZYM KWARTALE, LUB W PIERWSZYM MIESIĄCU 1939 ROKU, RAZEM Z NALEŻNOŚCIĄ ZA PRENUMERATĘ 1 ZŁ. ZA NAZWANĄ BROSZURĘ, KTÓRĄ TRAKTUJEMY JAKO PEWNEGO RODZAJU PREMJUM, SKALKULOWANE TAK NISKO, DZIĘKI WŁĄCZENIU JEGO CENY DO PRENUMERATY „ŁOWCA POLSKIEGO".

JELENIE I SARNY DLA ZIEM PÓŁNOCNO-WSCHODNICH

Stan ilościowy zwierzyny płowej na terenie Polski środkowej i zachodniej z każdym rokiem coraz bardziej się powiększa. Wpływa na to przedewszystkiem brak większych drapieżników, mogących zagrażać tej zwierzynie, oraz należycie dotąd nie unormowany odstrzał i to zarówno myśliwski, jak i selekcyjny. Ustalany corocznie kontyngent łań i kóz, przeznaczonych do odstrzału, prawie nigdy w stu procentach nie bywa wykorzystany, a waha się w najlepszych warunkach w granicach od 10-ciu do 60-ciu procent. W związku z tem „zaległości odstrzałowe" z każdym rokiem rosną coraz bardziej, a przewidziany normalnie stosunek płci zwiększa się wybitnie na korzyść samic. W łowiskach o bujnem podszyciu liściastem i dużej ilości wszelkiego rodzaju łączek, enklaw, czy pólek — sarny i jelenie rozmnażają się ogromnie. Nie znaczy to jednak, by istniał tam nadmiar byków, lub rogaczy, gdyż liczba ich jest stale redukowana przez myśilwych, natomiast kóz i łań ciągle przybywa, dzięki pokutującemu dotąd u nas zwyczajowi, wielce szkodliwemu dla gospodarki łowieckiej, że odstrzału selekcyjnego może dokonać tylko służba, a „szanujący się" nemrod nie strzela do łań i kóz.



Jeleń, ubity przez p. Janusza Zdziechowskiego w Rzędowicach, pow. Miechów.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że jedynie właściciel, czy dzierżawca łowiska, znający dobrze swój zwierzostan, ma należyte pojęcie o tem, które sztuki nadają się do odstrzału. Służba łowiecka, choćby najlepiej wyszkolona, nie zrozumie tego nigdy — to też odstrzał przez nią dokonywany jest zazwyczaj zwykłym odstrzałem redukcyjnym, przy którym nierzadko giną najbardziej wartościowe dla hodowli matki. Zabicie chorej, czy wybitnie zdegenerowanej kozy nie stanowi żadnej ujmy dla myśliwego, tak, jak nie stanowi ujmy odstrzelenie byka-szydlarza. Czas już najwyższy skończyć z tym niedorzecznym przesądem, dzięki któremu musimy potem odstrzeliwać dziesiątki chorych sztuk i niszczyć dobrowolnie z dużym nakładem wysiłków i pieniędzy założone gospodarstwa łowieckie.

Nadmierne rozmnożenie się jeleni i sarn w b. Królestwie Kongresowem, w Poznańskiem i na Pomorzu spowodowało w ostatnich latach znaczny wzrost szkód, czynionych przez tę zwierzynę bądź to na sąsiadujących z lasami polach włościańskich, bądź też w samym lesie, w nowo zasadzonych kulturach i podrastających młodnikach. Szkody te powstają przedewszystkiem w czystych kniejach sosnowych, gdzie zwierzyna pozbawiona jest naturalnego pożywienia, dostarczanego normalnie przez runo leśne i podszycie. W takich borach spałowanie i ogryzanie sadzonek przybiera nieraz zastraszające rozmiary — to też w wielu okolicach Dyrekcje Lasów Państwowych chwyciły się środka ostatecznego — wybijania doszczętnego jeleni i sarn w zagrożonych nadleśnictwach.

Akcja ta, aczkolwiek wywołana koniecznością, nie jest celowa i powinna być jaknajrychlej zaniechana. Wybijając sarny i jelenie, a tem samem rogacze i byki — Dyrekcje dobrowolnie pozbawiają się stałego dochodu, jaki rokrocznie przynosi im sprzedawanie odstrzału zgłaszającym się myśliwym. Zważywszy, że przeciętnie osiągana cena odstrzału rogacza wynosi 40 zł., zaś byka 150 zł., widzimy, że każdy sezon łowiecki przysparza Skarbowi Państwa poważne sumy. Wybicie zwierzyny uniemożliwia także korzystne wydzierżawienie terenów łowieckich, przynoszących rocznie dziesiątki tysięcy dochodu.

Natomiast masowy odstrzał płowej zwierzyny nie daje prawie żadnych zysków. Bowiem wobec trudności eksportu dziczyzny zagranicę — zbycie większej ilości mięsa przedstawia ogromne trudności, a ceny są tak śmiesznie niskie, że nie wytrzymują żadnej kalkulacji. W Radomiu np. za kilo mięsa wołowego płaci się przeciętnie złotych 1.20, gdy tymczasem za kilogram sarniny przy zwiększonej podaży z trudem uzyskuje się zł 0.30, a za mięso jelenie zł. 0.20 i to w detalu, bo ceny hurtowe są jeszcze niższe. Widać więc jasno, że i z punktu widzenia gospodarki łowieckiej i ze względów ogólnogospodarczych Państwa odstrzał redukcyjny zwierzyny płowej w lasach państwowych nie ma racji bytu. Nie przysparzając Skarbowi Państwa żadnych dochodów, niszczy się bogate zwierzostany najcenniejszego zwierza, stanowiące, jak wiadomo, cząstkę bogactwa narodowego kraju.

Rozumiem doskonale, że ze względu na dobro gospodarki leśnej rozmnoża zwierzostanów musi być ograniczona, jednak mamy na to inne, bardziej korzystne dla Państwa sposoby od masowego odstrzału redukcyjnego. Ot, poprostu wysyłajmy nadmiar jeleni i sarn na Kresy Wschodnie. Na Wileńszczyźnie, w Nowogródzkiem i na Polesiu do dziś dnia rozprzestrzeniają się ogromne kompleksy leśne, ubogie w zwierzynę, które z łatwością pochłoną cały przeznaczany obecnie do odstrzału kontyngent płowej zwierzyny b. Królestwa, Poznańskiego i Karpat. Na Ziemiach Północno-Wschodnich stan sarn jest bardzo ubogi, a jeleni niema wcale — poco więc marnować tę zwierzynę za grosze, gdy można ją przesiedlić na nowe tereny, na których da ona normalny dochód z dzierżawy łowisk i z indywidualnych odstrzałów. Rzucam ten projekt w nadziei, że Dyrekcja Naczelna Lasów Państwowych w Warszawie we własnym dobrze zrozumianym interesie rozszerzy go i wprowadzi w życie.

Czy aklimatyzacja jelenia da na Wileńszczyźnie dobre rezultaty? Bez wahania odpowiem, że tak. Przed wojną, w zwierzyńcu Lipniaki p. B. Świętorzeckiego w pow. Mołodeczno istniały jelenie i chowały się oraz rozmnażały zupełnie dobrze. Obecnie w majątku Benedykta Hr. Tyszkiewicza — Pierszaje pow. Wołożyn, leżącym na pograniczu woj. wileńskiego i nowogródzkiego istnieje taki stan zaaklimatyzowanych przed kilkoma laty jeleni, że dokonywany bywa nawet odstrzał byków. To dowodzi, że Wileńszczyzna w zupełności jeleniowi odpowiada i istnieją duże możliwości rozmnożenia tam tej pięknej zwierzyny.

Jeżeli chodzi o sarny, to sprawa jest jeszcze prostsza, bo przecie występują one (wprawdzie niezbyt licznie) w całej Nowogródczyźnie i Wileńszczyźnie, i nie może być nawet mowy o jakichś specjalnych trudnościach aklimatyzacyjnych.

Króciutko zastanowię się teraz nad sprawą klimatu i pożywienia. Klimat Ziem Północno-Wschodnich, aczkolwiek nieco ostrzejszy od pozostałych ziem polskich — nie jest jednak groźniejszy od klimatu Karpat, w których zarówno sarny, jak i jelenie, osiągają przecież najwyższą swą formę. O tem, że poznańskie czy kieleckie sarny wymarzną na Wileńszczyźnie — nikt chyba serjo nie będzie myślał, zwłaszcza, że w lasach kresowych mają one znacznie więcej gąszczów i osłon terenowych w postaci wąwozów, jarów i zalesionych dołów, w których potrafią schronić się przed zimnem i wiatrem. Groźne dla zwierzyny mogą być jedynie duże śniegi, utrudniające zdobycie potrzebnej ilości pożywienia. Tę bolączkę winien jednak usunąć sam hodowca myśliwy, zakładając na zimę paśniki. Zresztą nie wyobrażam sobie nawet, aby ktoś zakupił partję sarn, wpuścił do swej kniei i przestał odtąd interesować się ich losem. Byłoby to bowiem równoznaczne ze zmarnowaniem sumy wydanej na zakup zwierzyny.

Przechodząc zkolei do sprawy pożywienia, zaznaczyć muszę, że knieje kresowe stanowią pod tym względem pierwszorzędne łowiska. Bujne runo leśne i obfite podszycie zapewniają zwierzynie płowej dostateczną ilość karmy w ciągu całego roku, bez potrzeby uciekania się do sztucznego dokarmiania przy pomocy jarmużników i pólek łowieckich. Myślę naturalnie o lasach mieszanych i liściastych, gdyż bory sosnowe w całej Polsce stanowią jednakowo ubogi w paszę typ kniei. W śnieżne, mroźne zimy trzeba jednak zawsze dokarmiać zwierzostan, gdyż w tym okresie zdobycie potrzebnej ilości pożywienia wymaga znacznie więcej czasu i trudu — to też przyjście z pomocą zwierzynie jest moralnym obowiązkiem każdego hodowcy.



Mój pierwszy z nadl. Jedlnia. Fot. L. Pac-Pomarnacki.

Mówiąc o aklimatyzacji, poruszyć także muszę sprawę drapieżników, które mogą wywrzeć pewien wpływ na naszą gospodarkę łowiecką. Chodzi tu oczywiście o rysia i wilka. Ryś na Wileńszczyźnie jest już zwierzęciem dość rzadkiem, to też zagrażać aklimatyzacji zbytnio nie będzie. Jednak tam, gdzie dotąd występuje — nie można marzyć o dużem rozmnożeniu zwierzyny płowej, bo drapieżnik ten szerzy wśród niej ogromne spustoszenie. Ale, jak zaznaczyłem, siedliska rysie są dziś już bardzo nieliczne, to też można go nie brać wcale pod uwagę. Ubytek jeleni i sarn, spowodowany obecnością rysi, będzie z pewnością dużo mniejszy od szkód, czynionych w zwierzostanie przez wilki. Każdy hodowca przystępujący do hodowli płowej zwierzyny, musi liczyć się poważnie z możliwością szkód czynionych przez te drapieżniki. Wędrujące zimą wilki potrafią dotrzeć do każdego łowiska, to też naprawdę trudno jest uchronić swój zwierzostan od tych nieproszonych gości. Ale sarny na Ziemiach Północno-Wschodnich jednak istnieją, co dowodzi, że istnieje możliwość współżycia ze sobą tych dwóch rodzajów zwierząt.



Mój drugi z nadl. Jedlnia. Fot. L. Pac-Pomarnacki

A w Karpatach, obok niedźwiedzi, rysi, żbików i wilków, mamy piękne zwierzostany sarn i jeleni, dlaczego więc na Wileńszczyźnie miałoby być inaczej? Selekcja czyniona przez wilki przyczynia się do poprawy jakości sztuk i hodowli łowieckiej wychodzi tylko na dobre. Powszechnie wiadomą jest bowiem rzeczą, że sarny wileńskie przewyższają wagą i wzrostem ciała swe krewniaczki z innych dzielnic Polski, pozbawionych ingerencji dużych mięsożerców. Sprowadzając płową zwierzynę — musimy zgóry przewidzieć pewien ubytek na rzecz wilków i rysi. Jednak ubytek ten nie będzie tak znaczny, by miał zniechęcać hodowców do akcji aklimatyzacyjnej. Pod zębami drapieżców padnie wszystko, co będzie wątłe, chore i zdegenerowane, ale zdrowe, silne osobniki z pewnością przetrwają i założą podwaliny pod stworzenie pięknego zwierzostanu, składającego się ze sztuk naprawdę kapitalnych.

W jaki sposób mogłaby się odbywać aklimatyzacja? Otóż, mojem zdaniem, główny nacisk położyć należy na wysyłkę sztuk młodych, łatwych do złapania i przesyłki. Koźlęta i jelonki powinny przez pewien czas być chowane w leśnictwach i gajówkach, aż nauczą się przyjmować pokarm roślinny. W tym czasie może już nastąpić ekspedycja. Trzymać je trzeba w dużych zagrodach, w lesie czy w ogrodzie — nigdy w domu, żeby zbytnio się nie oswajały. Wypuszczanie młodych, lecz już przyzwyczajonych do samodzielnego życia, ma tę ogromną zaletę, że zapobiega wędrowaniu sprowadzonej zwierzyny. Koźlęta, które pozostawały przez pewien czas po swej podróży w zagrodzie, przywykają do nowego miejsca zamieszkania i jeszcze po rozgrodzeniu płotu przez kilka dni przebywają w najbliższej okolicy, by wkoncu osiąść gdzieś na stałe. Stosując więc ten system, można utrzymać sprowadzoną zwierzynę nawet w łowisku o mniejszej powierzchni leśnej.

Wysyłanie młodych sarenek i jelonków ma i tę dobrą stronę, że zwierzę, rosnąc w kniei, dostosowuje się już odrazu do nowych warunków i staje się od-

porne na chłód i inne trudności życiowe, czego nie można wymagać od okazu starego, brutalnie wyrwanego z dawnego środowiska. A przytem koszt sprowadzenia młodego będzie przynajmniej trzykrotnie mniejszy od zakupu sztuk dużych, których złowienie, utrzymanie i przewóz kosztują grube sumy.

Jeżeli chodzi o aklimatyzację egzemplarzy dorosłych — to ze względu na ich zwyczaj emigrowania, może ona mieć miejsce tylko w dużych kompleksach leśnych, liczących po kilka i kilkanaście tysięcy hektarów zwartej powierzchni, jak np. Puszcza Nalibocka, Rudnicka, lasy maj. Woropajewo, Puszcza Komajska, Hołubicka i inne. Z takiej kniei jelenie nie wywędrują i w jakimś zakątku muszą się osiedlić.



Mój trzeci z nadl. Jedlnia. Fot. L. Pac-Pomarnacki.

Zbliżający się okres mrozów i śniegów wybitnie sprzyja łapaniu zwierzyny w specjalne pułapki, gdyż wygłodzone zwierzęta idą z łatwością na przynętę. Zatem już teraz należałoby przystąpić do zorganizowania całej akcji aklimatyzacyjnej. Akcja ta, mojem zdaniem, musi objąć lasy zarówno prywatne, jak i państwowe z tą tylko różnicą, że do łowisk prywatnych kierować należy przedewszystkiem młode koźlęta i jelonki, do państwowych zaś można wysyłać już dorosłe egzemplarze. Podział ten wprowadziłem z tego względu, że wysyłka starych sztuk będzie znacznie kosztowniejsza i na nią w szerszym zakresie mogą pozwolić sobie tylko Dyrekcje Lasów Państwowych, natomiast młodzież sarnią lub jelenią potrafi nabyć każdy przeciętny ziemianin.

Raz jeszcze podkreślam, że wierzę całkowicie w powodzenie takiej imprezy, pod warunkiem jednak, że sprzedawcy zwierzyny płowej nie zechcą odrazu robić kokosów i niebywale wyceniać oferowanych sarn, czy jeleni. Przedewszystkiem do akcji tej nie można dopuszczać pośredników, bo to znacznie podwyższy koszty. Dostawcami muszą być same Dyrekcje lasów, czy Zarządy dóbr prywatnych, które, po otrzymaniu zgłoszenia jakiegoś hodowcy kresowego, polecą pewnemu nadleśnictwu wysłać żądaną zwierzynę w określonym terminie.

Współdziałając z akcją aklimatyzacji, trzeba zdawać sobie dokładnie sprawę z tego, że zadaniem sprzedawcy nie może być w tym wypadku „wykorzystywanie mody" i obdzieranie ze skóry zgłaszającego się nabywcy. Chodzi tu o akcję o znaczeniu ogólno-państwowem, zasługującą na rzetelne poparcie, więc jeżeli możemy sprzedawać ubite sarny po 6 zł. albo i jeszcze taniej za sztukę — to za żywą wystarczyć nam musi całkowite pokrycie kosztów łapania plus 4—5 złotych zysku. I tak sztukę tę zmarnowalibyśmy niewątpliwie u siebie przy odstrzale redukcyjnym, zatem wyślijmy ją lepiej na Kresy, gdzie przyniesie znaczne korzyści, nas zaś uwolni od płacenia odszkodowań łowieckich, dając jeszcze w dodatku kilka złotych zysku.

Zapoczątkować akcję powinny Dyrekcje Lasów Państwowych w Poznaniu i Wilnie, bowiem Dyrekcja Poznańska przeprowadza u siebie najintensywniejszy odstrzał redukcyjny zwierzyny płowej, natomiast Dyrekcja Wileńska posiada najwięcej ubogich w zwierzynę terenów, nadających się jednak do osiedlenia sarn i jeleni. Gdyby akcja ta rozwinęła się należycie i zapotrzebowanie na zwierzynę płową wzrosło — wysyłać materjał hodowlany będą mogły i inne Dyrekcje (Warszawska, Radomska, Lwowska). Przy dobrej organizacji cały kontyngent zwierzyny płowej, przeznaczony w lasach państwowych i prywatnych do odstrzału redukcyjnego, mogłyby w ciągu paru lat wchłaniać Ziemie Północno-Wschodnie, aż do właściwego zapełnienia tą zwierzyną tamtejszych łowisk.

Zaznaczyć tylko muszę, że do wysyłki w celach aklimatyzacyjnych nadają się jedynie sztuki zdrowe. Podkreślam też, że, mówiąc w niniejszym artykule o kontyngentach odstrzałowych, myślę wyłącznie o odstrzale redukcyjnym. Sztuki selekcyjne w dalszym ciągu winny być odstrzeliwane, jako nieodpowiednie do hodowli, i takich okazów pod żadnym pozorem wysyłać niewolno. Zdrowy materjał zarodowy w ciągu paru pokoleń przekształci się na Wileńszczyźnie w wyborowy zwierzostan, gdyż obfitujące w paszę knieje kresowe przyczynią się niewątpliwie do podniesienia rasy nawet u słabszych w wadze i wzroście sarn wielkopolskich.

I zrobię jeszcze jedno zastrzeżenie. Aklimatyzując jelenie, unikać należy kniej zamieszkałych przez łosie, bowiem oba te gatunki cerwidów nie darzą siebie wzajemną sympatją. Inna rzecz, że w czasie swych migracyj kiedyś zetkną się one niewątpliwie na którymś terenie, jednak narazie zetknięcia tego trzeba unikać. Zresztą łosie na Wileńszczyźnie trzymają się tylko w kilku kompleksach leśnych, a więc wybór terenów dla jeleni nie może przedstawiać dużych trudności. Taka olbrzymia np. Puszcza Nalibocka nie posiada obecnie wcale łosi i wchłonęłaby łatwo paręset jeleni i tyleż sarn. Oczywiście nie należy dążyć odrazu do stworzenia licznego zwierzostanu, choćby ze względu na możliwość szkód i normowanie stanu zwierzyny musi być stałą troską hodowcy, jednak ogromne knieje kresowe pomieszczą dużo sarn i jeleni, a pomimo to nieprędko zapełnią się zwierzyną w tym stopniu, by ilość jej potrzeba już było redukować.

Omówiłem w krótkości całokształt poruszonego zagadnienia. Jest to jeszcze projekt, lecz projekt nietylko możliwy, ale nawet łatwy do zrealizowania. Zdania, które napisałem, dyktowało mi wielkie umiłowanie polskiego łowiectwa i przepięknych ostępów Ziem Północno-Wschodnich. Ilekroć za biurkiem w gmachu Dyrekcji opracowuję plany odstrzału redukcyjnego, ilekroć paru pociągnięciami pióra skazuję na śmierć setkę kóz czy dziesiątki łań — myśl moja biegnie zawsze ku odległym kniejom Wileńszczyzny, czy Ziemi Nowogródzkiej.

Widzę cichy, senny poranek. Gęste, białe jak wata kłęby jesiennych mgieł snują się nisko nad rozległą przestrzenią zrudziałych już, przekwitłych wrzosowisk, wysrebrzonych kroplami obfitej, lśniącej rosy. Misterne przędze pajęczyn, zawieszone na krzaczkach i wyższych źdźbłach uschłych traw, usiane perełkami wody, imitują brylantowe kolje. Z pogodnego nieba leje się szeroką strugą jasność przedświtu, w której cała okolica powleka się pastelowemi odcieniami fioletu i srebra. A w przyrodzie panuje pustka i cisza.

I czyż nigdy już tej ciszy tam, wśród pagórków leśnych, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych, nie zakłóci basowy, gniewny akord jeleniego ryku? I czy, jak pisze Wieszcz, nie pomknie między drzewa zwierz żółtawym pasem, jak promień, kiedy wpadłszy — gaśnie między lasem?

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

WYCIECZKA ORNITOLOGICZNO-MYŚLIWSKA NA STAW W IWANIU POW. DUBIEŃSKIEGO

Uzyskawszy uprzednio zezwolenie na polowanie na stawie w Iwaniu, udałem się tam na dwudniową wycieczkę myśliwsko-przyrodniczą.

„Polowanie w Iwaniu" — to dla myśliwego z Wołynia synonim wspaniałych łowów na ptactwo wodne.

Iwanie — to duże gospodarstwo rybne, będące w zarządzie Dyrekcji Lasów Państwowych Okręgu Wołyńskiego. Dobra Dubieńskie, do których należało i Iwanie, stanowiły niegdyś własność książąt Lubomirskich, potem przeszły w posiadanie Elżbiety hr. Szuwałowej, by wreszcie w roku 1921 przejść na własność Skarbu Państwa.

Całe gospodarstwo składa się ze 136 ha stawu dzikiego, przez środek którego przepływa Ikwa, tworząc naturalny zalew, oraz 25 ha stawów sztucznych; nadto 283 ha stanowią bagienne nieużytki — tworząc razem kompleks 444 ha wymarzonego eldorado dla ptactwa wodnego. Nic więc też dziwnego, że gnieździ się tam olbrzymia ilość kaczek, nurków, perkozów, bąków, bączków i innych ptaków.

Wody Ikwy, stanowiąc zlewnię płaskowzgórz i pagórków, pokrytych przeważnie polami i łąkami, są wapienne i bardzo żyzne, wskutek czego koryto rzeki oraz staw szybko zarastają trzcinami i innemi roślinami. Sam teren zajęty pod gospodarstwo rybne w Iwaniu stanowią po większej części zabagnione torfy i nieużytki.

Jest to więc, poza stawem w Borsukach (własność hr. Rzewuskiej), największy kompleks wodny na Wołyniu. W pow. lubomelskim istnieje wprawdzie jeszcze większy kompleks, a mianowicie jeziono Switiaż, jednak dla ornitologa i myśliwego nie przedstawia ono zbyt ciekawego objektu.

Staw w Iwaniu warto jest zobaczyć, choćby dla ujrzenia jedynej swego rodzaju kolonii czapel. Czaple w Iwaniu gnieżdżą się na z i e m i, tworząc kolonię, składającą się z około 25 gniazd. Gniazda te znajdują się wśród trudno dostępnych kożuchów błotnych, porośniętych trzciną. Gniazda wysłane są trzciną i gałęziami.

Tutaj też gnieździ się w większej ilości krewniak czapli, tajemniczy mieszkaniec lasu trzcin — bąk, a także bączek.

W oczeretach znajduią się gniazda różnych kaczek: krzyżówki, cyranki, cyraneczki, podgorzałki, ogorzałki, płaskonosa, rożeńca, krakwy.

Wiosną i jesienią spotkać tu można przeróżne odmiany kaczek przelotnych, jak: świstuny, czernice, gągoły, lodówki obrożne, uhle, sterniczki białogłowe, a także tracze: bielaczka, nurogęś, tracza długodziobego.

Z nurów spotykamy na przelotach nura północnego *(Colymbus arcticus)* oraz nura rdzawoszyjnego *(Colymbus stellatus)*.

Z perkozów — prawie wszystkie odmiany, a więc: perkoza dwuczubego, rdzawoszyjnego, zausznika oraz perkozka.

Oprócz wyżej wymienionych odmian gnieździ się tu moc łysek, kurek wodnych, kuliczków i biegusów, nie licząc drobnego ptactwa.

Z drapieżników spotykamy: jastrzębia gołębiarza, krogulca, obydwie odmiany kani, błotniaka stawowego i orła rybołowa.

Z temi oto ptakami mogłem się spotkać w czasie mej dwudniowej wycieczki.

W poniedziałek 31 października o godz. 8.25 wyjechałem autobusem z Łucka. Pogoda podła, mży deszczyk, t. zw. mraka. W czasie dwugodzinnej jazdy wypogadza się jednak o tyle, że do Iwania dojeżdżam bez deszczu.

Kilka zaledwie mija chwil, zanim podjechał rybak z czółnem, i już jestem na stawie. Majestatycznie wygląda bezkres wody i trzcin. Gdzieniegdzie zrywają się stadka po kilka lub kilkanaście kaczek, by dalej zapaść w trzciny. Na środku stawu czarna plama. Skierowane szkła lornetki pozwalają mi zobaczyć tysiące kaczek. Ale rybak mówi, że to nic, że dalej będzie ich jeszcze więcej.

O podjechaniu ich mowy jednak niema. Na pięćset i więcej kroków zrywa się chmura, krąży wysoko i znowu opada — w inne miejsce. Już dwie godziny jeżdżę po stawie i ani jednego strzału nie dałem. Zaczynam się trochę niecierpliwić. Przechodzę przysłowiowe męki Tantala. Widzieć tyle kaczek i nie strzelić!



Krzyżówka na gnieździe. Fot. T. Fritsche

Na Iwanie wybrałem się z myślą zdobycia ciekawszych odmian dzikich kaczek oraz zdobycia do mojej kolekcji białej czapli. Wszelkie wysiłki spełzają na niczem. Czapel białych niema, już przeleciały, a kaczki, co ciekawsze gatunki, rwą się na niemożliwe odległości.

Wjeżdżamy wreszcie w trzciny. Lecz tu to samo. Cisza jest taka, że najmniejszy szmer łodzi, ocierającej się o trzciny, płoszy kaczki na olbrzymie, niedostępne dla strzału, dystanse.

Coraz głębiej wjeżdżamy w trzciny. Trzciny... Czy można w Iwaniu przestrzeń zarośniętą trzcinami, tak nazwać? To jakiś las miniaturowy. Człowiek gubi się w nim. Podziwiam orjentowanie się w nim rybaka. Co chwila zwraca się do mnie z ostrzeżeniem: „Teraz będzie golizna". Na takich „goliznach" szukamy kaczek. Są, jest ich pełno, ale te odległości... Tylko z głośnem chlapaniem, blisko rwą się „czarne djabły" — łyski, płosząc kaczki.

Nareszcie po trzech czy czterech godzinach zabijam krzyżówkę. Za chwilę znów cyraneczka rwie się blisko. I ta niedługo leży w dziobie łodzi. Potem znów następuje serja pudeł, potem kilka z rzędu trafnych strzałów i wyjeżdżamy na drugą większą, gołą taflę wody.

Rybak miał rację. To, co widziałem do tej pory, było jakby wstępem do tego, co zobaczyłem teraz.

Setki, tysiace, dziesiątki tysięcy kaczek zrywa się z szumem. Właściwie odgłos ten nazwałbym raczej hukiem, jakby gdzieś niedaleko wystrzelił ktoś z armaty. A kaczki rwą się bez przerwy.

Pamiętam, kiedyś na okładce „Łowca Polskiego" umieszczona była fotografja wzlotu stada kaczek w Kanadzie. Obraz, jaki widziałem w Iwaniu, nie był zbyt daleki od przedstawionego na omawianej fotografji.

Ale cóż, znów ten dystans...!

Zaczyna się ściemniać. Trzeba wracać do domu. Znów wbijamy się w trzciny. Rozbite stada kaczek rwą się teraz nieco bliżej. Padają strzały, padają kaczki lub też spudłowane ulatują w szary mrok wieczoru.

Zdaleka dochodzi mnie krukanie żórawi.

Widzę, leci stado ptaków, ale lot jakoś niepodobny do lotu długonogich ptaków. Lecą bezładną gromadą, miast charakterystycznego dla żórawi klucza. Są bliżej, coraz bliżej, ale na strzał zadaleko. Wreszcie poznaję. To goście z dalekiej północy — stadko złożone z 30 nurów północnych. Głos wydają podobny do głosów żórawi, coś pomiędzy krakaniem wron i krukaniem żórawi.

Smętny to śpiew, ale dziwny posiada urok.



Fragment z Ikwy.

Bliżej domu ukazuje się na niebie stado dzikich gęsi. Zniżają lot, jakby chciały wodować. Przewoźnik mój mówi, że trzy tygodnie temu całe masy dzikich gęsi nocowały na stawie. Że teraz ciągną jakieś resztki, maruderzy, albo może mieszkanki najbardziej na północ wysuniętych krain.

Coraz ciemniej. Strzelać już mogę tylko na tle nieba i to tylko na stronie zachodniej, gdzie jest nieco jaśniej. Pogoda zapowiada się beznadziejnie.

Wreszcie wychodzę na brzeg. Od stawu płyną czarowne głosy. Kwakania, świsty, piski, pluskania. Z szumem przelatuje nad głową stado szpaków, to znów ze świstem stado kaczek. Zdawałoby się, że mroki nadchodzącej nocy uciszą na kilka godzin życie. Lecz nie, właśnie przeciwnie. Teraz dopiero budzi się życie stawu. Odzywają się głosy ptactwa, lekki, zrywający się wiaterek szumi w trzcinach. Staw żyje...

* * *

Godzina wpół do szóstej rano. Od pół godziny już nie śpię. Palę papierosa, w pokoju zupełnie ciemno. W głowie tłoczą się myśli, wrażenia z poprzedniego dnia przewijają się przez myśl barwną wstęgą. Rodzi się nadzieja: „może dziś uda mi się coś ciekawego zdobyć?"

Za chwilę cicho uchylają się drzwi i ukazuje się głowa kierownika gospodarstwa rybnego, przemiłego p. Surowieckiego.

— Czy pan pojedzie na staw? — pada pytanie.

— A dlaczegożby nie?

— Bo deszcz leje — brzmi odpowiedź smutna.

Czy warto jechać, zimno — oto pierwsze myśli, ale wnet przemożna żyłka myśliwska wyrzuca mnie z łóżka. Cóż do djabła, na co tu przyjechałem? A nuż drugi raz nie dostanę pozwolenia na polowanie w Iwaniu, a tem samem stracę może jedyną w życiu okazję zdobycia jakiegoś ciekawego okazu.

Za pół godziny jestem na stawie. Zaczyna się rozwidniać. Deszcz leje bez przerwy. Wjeżdżamy szybko w trzciny, aby złapać chwilę przylotu kaczek na staw. Mokre trzciny całują twarz wilgotnem dotknięciem, woda z kapelusza leje się za kołnierz. Za chwilę kolana, nieosłonięte płaszczem, też są mokre.

A kaczek niema. Godzina wpół do ósmej. Postanawiam znów buszować wśród trzcin. Pokazują się pojedyńcze sztuki. Zaczyna się strzelanie. Lecz niestety znów tylko krzyżówki i cyraneczki.

Ciekawe przytem robię spostrzeżenie. Podczas mej dwudniowej bytności na Iwaniu nie widziałem ani jednej cyranki — same cyraneczki. Co do krzyżówek, to też zaobserwowałem ziawisko, spotykane późną wiosną, zwykle w maju. Mianowicie kaczory zbite w duże stada trzymają się osobno, zaś kaczki rwą się przeważnie po dwie, trzy, lub nawet pojedyńczo.

Kręcimy się po labiryncie korytarzy wśród trzcin. Zbliżając się do „oka", płyniemy cicho, starając się robić jaknajmniej hałasu. Nie pomaga to nic. Przeklęte „czarne diabły" z chlapaniem rwą się przed nami, płosząc kaczki.

Dopiero tu na Iwaniu mogłem stwierdzić, jak wielką przeszkodą w polowaniu na kaczki są łyski. Dosłownie na każdem „oku" siedzi ich mnóstwo, kilka pływa wśród trzcin tuż przy brzegu „oka" i te zawsze wypatrzą łódkę. Jedna taka zrywająca się łyska robi tak niemożliwy hałas, że wszystko odrazu zrywa się do ucieczki. A cóż mówić, gdy zrywa się kilkadziesiąt tych czarnych ptaków.

Zbliża się godzina jedenasta, trzeba wracać na śniadanie.

Wyjeżdżamy z trzcin. Na lekko pomarszczonej wiatrem tafli wody pływa w oddali kilka dużych białych ptaków. Przez lornetkę staram się je rozpoznać. Oczom moim ukazuje się osiem majestatycznie odpoczywających dzikich łabędzi. Wygięte, długie szyje zwrócone są w moim kierunku. Już nas dostrzegły. Nigdzie ani trochę trzcin, poza któremi możnaby się do nich zbliżyć. Wobec takiej sytuacji nie próbuję nawet, zdając sobie sprawę z bezcelowości podjazdu. Przewoźnika proszę, by zatrzymał czółno i dłuższą chwilę obserwuję ptaki.

Jest w ptakach tych, w ich kształtach i ruchach taka wielka jakaś poezja, wdzięk i ukryta moc, takie piękno linji, że na dzikie łabędzie patrzeć można bez końca. A gdy białoskrzydłe ptaki zerwą się i wolnym majestatycznym lotem przecinają nieboskłon, jest w locie ich taka dziwna jakaś ukryta potęga tęskноty, że człowiekowi robi się smutno. Czemu, nie wiem, ale tak jest.

Ptaki już dawno odleciały, a ja wciąż zapatrzony byłem w miejsce, gdzie znikły na horyzoncie. Dopiero przewoźnik wyrwał mnie z zadumy. Na „czystem" siedział dalej jakiś inny ptak. Znów lornetka powędrowała do oczu. To biały szlacharek, najmniejszy z naszych traczy. Ponieważ miałem już jednego w swej kolekcji, a do jedzenia odmiana ta zupełnie nie nadaje się, zostawiłem go w spokoju.

Szybko zjadłszy śniadanie, znów wyjechałem na staw. Już tylko trzy godziny czasu zostaje mi na polowanie.

Wszelkie wysiłki, by zdobyć coś ciekawego, na nic się nie przydają. Na strzał zrywają się jedynie krzyżówki i cyraneczki. Reszta siedzi na środku stawu i zjechać się nie daje.

Znów zaczyna się ściemniać. Jeszcze kilka strzałów, jeszcze jedno „oko". Może, może — ta jedna

myśl prześladuje mnie bez przerwy. Lecz „oko" puste. Nic na niem niema. Wracamy do domu.

Podniosłem 21 kaczek, w tem 8 cyraneczek, 2 podgorzałki, 2 ogorzałki i 9 krzyżówek. Jak na staw w Iwaniu, zdobycz to nieszczególna.

Polowania na dużych wodach, gdy człowiek zanurzy się w las trzcin i szuwarów, gdy dobry rybak lub przewoźnik jest jedynym naszym, małomównym towarzyszem, mają czar niewysłowiony. Gładka tafla — lustro wody napawa nas spokojem, a szum trzcin, odgłosy ptactwa i zawodzący w szuwarach lekki podmuch wiatru są najmilszą dla ucha myśliwego — muzyką.

Wracałem z Iwania upojony, zachwycony jego pięknością i urokiem, który przenika głęboko w serce.

Na wspomnienie tych lasów trzcinowych i przestrzeni wód uleciał gdzieś żal, że moje marzenia nie spełniły się. A może, może jakiś duch Iwania chciał wypróbować moje zamiłowanie łowieckie i może szykuje mi jakąś niespodziankę na wiosnę? Może znów kiedyś uda mi się otrzymać zezwolenie na polowanie w Iwaniu?... Nie wiem...

Wiem jednak, że dziś już o tem myślę, choć jeszcze długa zima przed nami i inne czekają mnie wrażenia myśliwskie.

MIECZYSŁAW MNISZEK-TCHORZNICKI.

SĄD NAD ANDRIEJEM HOMELEM

Z cyklu „Obrazki z Polesia".

Starego korciło coś, żeby koniecznie iść.

Już poprzedniej nocy spać nie mógł. Z boku na bok przewracał się, postękiwał, to coś tam mamrotał przez sen. A jak tylko zaświtało, to zaraz do komory poszedł, „berdanku" wyciągnął, tłuszczem zamki wysmarował, nabojów sztuk z pięć przygotował i czekał wieczora.

Noce były niezwykle jasne. — Śnieg grubą warstwą przykrył pola i tylko w księżycowej poświacie jakimś sinawo-błękitnym odcieniem fosforyzowały brylantowe kryształy, a śnieżne okiście zcicha przypadły do sosnowych igieł i cała dolina „Pod Piszczą" drzemała zaklęta w misterjum nocy poleskiej.

Andrij upatrzył sobie kępę pod gęstym jałowcem i tam przycupnął.

Właśnie na tem poletku żyta zające niezwykłe harce wyprawiały.

Mróz trzaskał niemiłosiernie. Zerwał się wiatr. Głośnym du-du-u-u szumiały oczerety pobliskiej Leśnej.

Zebrał się w sobie Andrijko, krajką mocniej ściągnął kożuch i czeka. Tylko mu nogi trochę już marzły. Że to w nocy spał nie bardzo, więc sen go zaczął morzyć. Ale co chwila oczy szeroko rozwierał.

Ot, wydawało się staremu, że zając tuż, tuż, i już nawet strzelać się zmierzył, a to wiatr „brodiaha" tylko tak krzakiem ruszał.

Więc siedzi Andrij. Oczy wytrzeszcza. Czas płynie.

Nagle patrzy i aż mu ciarki po ciele przeszły.

Idzie cała gromada zajęcy. Usiadły przed Andrijem, uszy nastawiły.

Później dziki idą, lis jeden z drugim, to kóz siwowatych stado, to wydry na tylnych łapkach, tam znowu jeleni para skacze, aż wkońcu sunie łoś wspaniały. A teteruki przysiadły na pobliskich sosnach i patrzą.

A to szczo takoje — myśli sobie Andrij.

A tu jakaś taka światłość poszła z księżyca, i Andrij siedzi jak urzeczony.

I widzi, że cała gromada do niego podchodzi i woła:

— Pod sud Andrija, pod sud.

„Pod sudom" raz tylko jeden był i to za świadka tylko. Więc boi się, że jak nie pójdzie, to „sztrap" zapłaci.

Patrzy Andrij, aż łoś „mendal" założył, całą „zwir" niby to na świadków woła i pod „prisiahu" bierze, a lis tylko lata tu i tam i za „pysara" stoi.

I już Andrijowi pomieszało się, jaki to „sud" i za co. Ale wiadomo, „sud" — to trzeba słuchać.

I zaczęło się...

A to, że w „droty" łapał zające, to znowu, że kozę w maju zabił, to, że jak leśniki łapali, to jeszcze żywemu jeleniowi rogi odrąbał i uciekał; to, że kaczki na haczyki łapał, to znowu, że lisy „hałkoj" truł. I dzik wyskoczył jeszcze z pretensją, że zajęczym śrutem do niego strzelał.

Ot „chitre" sztuki — myśli sobie Andrij — ajajaj!... A lis „chworoba" „pysze" i „pysze". Więc Andrij podsuwa się do lisa, mruga na niego, złotówkę pokazuje i mówi: „pokiń". A lis nic, tylko ogonem merda i słuchać nawet nie chce.



Andrij Homel.

I zasądzili... Że co miesiąc Andrij ma być to za lisa, to za zająca, to za dzika...

Aż kiedy dojdzie do tego, żeby za łosia chodzić, to wtedy już kara „wyjdzie".

Trudno — myśli Andrij — Boże nakazańje!

Tylko śnieg coraz to czerwieńszy się robi i tuman wszystko zasłania.

. . . .

Kiedy Andrij nie wracał, nad ranem poszli szukać. Znaleźli starego, jak na kolanach stał, o krzaki się opierał i dwa palce u ręki do góry, jak do „prysiahy" trzymał.

Tylko dziwnie był jakiś biały, aż przezroczysty.

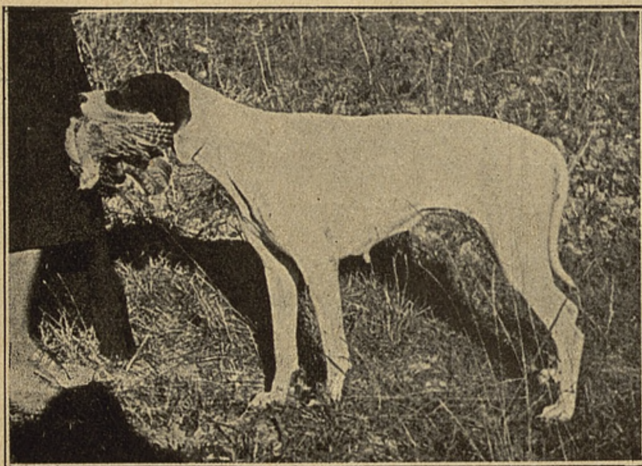
I tylko co miesiąc, kiedy księżyc mocno świeci, przybiega pod Andrijową chatę to zając, to lis i głośno, żałośnie zawodzi.

STANISŁAW PODGÓRSKI

W S Z Y

Myśliwi polujący na grubszą zwierzynę przeżywają w borach, na spowitych w mgły rozlewiskach czy szczytach górskich, swe wielkie emocje. Składają się na nie duże wysiłki fizyczne, a często śladem ich idzie groza niebezpieczeństw i ryzyka w bezkresnych często pustkowiach i odludziach. Nagrodą ich trudów jest nietyle łup i zwycięskie spotkanie z czujnym zwierzem, ile cudowna całość przeżyć i upojeń pośród czaru pierwotnej przyrody.

Do ołtarza tych najwyższych wrażeń, jakie w dzisiejszych możliwościach są udziałem nielicznej grupy myśliwych, szara rzesza wyznawców św. Huberta ma dostęp znikomy. Może o nich śnić i przeżywać je... teoretycznie, wertując opisy w prasie łowieckiej i dziełach przyrodniczych. Z konieczności musi się zadowolić mniejszą skalą dostępnych dla niej emocyj myśliwskich.



Splendor Arja aportuje. Fot. Gen. Cz. Jarnuszkiewicz.

każda z nich ma w sobie jednak swój swoisty urok. Z małego myślistwa wyodrębniam i wysoko stawiam zwłaszcza samotne łowy z wyżłem na kuropatwy. Obszar dalekich równin, przetkany pasami upraw rozmaitych, kępami zarośli nad szemrzącemi strumykami i zalany ulewą jesiennego słońca, jest rajem jakby z bajki wyśnionym. W nim rozpływają się bez śladu utrapienia codzienności i w dal ulatują na migocących nitkach babiego lata... Przytępione nerwy odradzają się i prężą, a cała psychika nastraja na nową zdolność odczuwania radości życia. Bo jakże często zatracamy świadomość — że pięknym jest świat! Upojne marzenia, oderwane od wyrafinowanego tempa dzisiejszego życia, wiodą nas przez cudownie kolorowe pola. Wtem — uwaga — pies stoi!... Wyzbywamy się gładko ostatnich refleksów dręczących nas kłopotów czy zawodów. Elektryzuje nas gwałtownie atawistyczny zew pierwotnego łowcy, dla którego gon był kwestją bytu, a nam daje psychiczne i fizyczne odrodzenie. Pies stoi!!...

Sezon polowań na kuropatwy w b. r. nie odpowiadał jednak tu, na Śląsku, wyżej opisanemu szematowi, który normalnie jest regułą dla naszych przysłowiowych „polskich jesieni". Pogoda bowiem układała się nader kapryśnie. Było naogół zimno i przekropnie. Mimo sprytnych spekulacyj i kontaktów z Pimem, wielokrotnie zlało mnie z góry i zmoczyło z dołu... Lecz trzeba było opolować teren, chociaż jeśli nie mżyło zrana, to zaczynało siąpić w południe...

Kuropatw tego roku na Śląsku w tych połaciach, gdzie zawsze są — było dużo, mniej więcej stan podobny do zeszłorocznego. Ale w opisanych warunkach w sezonie nie czuły się dobrze i musiały nieco zaniedbać tualetę swej przepięknej choć skromnej sukni. Częste szarugi hamowały ich ruchliwość i wprost uniemożliwiały tym największym sprzymierzeńcom rolnika właściwą im pedantyczną czystość. Paprzyska były mokre...

Po takiem jednem polowaniu, przegrodzonem kilkakrotnem chronieniem się pod okap domów względnie wyniosłych osik, mokry i zziębnięty dążyłem do wieczornego pociągu. Towarzyszył mi chłopiec z przyzwoitym pękiem kuropatw. Gdym je na chwilę przed wsiadaniem ujął w dłoń, poczułem zaraz wiadome łaskotanie po ręce. W pustym przedziale powiesiłem pęk koło okna i zbadawszy troki stwierdziłem, że ptaki są bardzo opanowane przez pasożyty. Dla wszelkiej więc pewności — usiadłem zdala...

Aliści już w Mysłowicach wdarł się do przedziału tłum ludzi. Cała ta stłoczona masa bardzo żywo zajmowała się mojemi kuropatwami i stały się one ośrodkiem zainteresowania, komentarzy, rozmów. Ja tymczasem, zepchnięty do przeciwległego okna, przeglądałem z pewnem roztargnieniem gazetę. Bardzo prędko, ramieniem niemal oparty o kury, jakiś przystojnie brodaty Żydek poskrobał się po karku, potem łapał coś po szyi, wreszcie zaczął się pocierać tu i ówdzie. Z powodu wzmagających się częstotliwości fatalnych wrażeń pasażer ten popadł w zdumienie i zaczął przerażone spojrzenia rzucać na otoczenie. Nadomiar złego „zaraza" zaczęła się rozszerzać i stojący obok żołnierz, ułapiwszy na karku coś, czego w tłoku nie miał możności i odwagi badać bliżej, obejrzał się podejrzliwie wokoło i warknął ze złością do starozakonnego: Odsuń się pan!... Wkrótce opierająca się o poprzednich jakaś piękna blondynka pomanipulowała dyskretnie koło podwiązki, potem pogmerała we włosach, wreszcie stała się mocno niespokojna!... Już też i inni współpasażerowie wykazywali większy lub mniejszy niepokój. Pogwarki wszelkie umilkły, zapanowała atmosfera wzajemnie wielce nieprzyjemna. Jakiś czerwony i otyły pan pokręcił się mocno i mruknął z pasją: pierrrona!... Żołnierz ile tylko mógł odsuwał się od Żyda, który już obydwoma rękami pracował w swej gęstej brodzie, dziewica bladła i ponsowiała naprzemian, reszta drapała się jak i gdzie mogła... Sam na swym policzku złapałem wędrującą żwawo jedną wesz ptasią...

Św. Hubert zrządził jednak, że wreszcie doczekałem się tych Katowic i nie zostałem pozbawiony mych trofeów, które w tych okolicznościach snadnie mogły wylecieć za okno, gdyby zgromadzony lud zrozumiał wreszcie przyczynę swych udręczeń. Tenże sam św. nasz Patron zrządził, że nie pękłem ze śmiechu na widok tego fenomenalnego pośpiechu, z jakim pasażerowie opuszczali zaczarowany wagon. Niewątpliwie każdy biegł prosto do domu, by w ustronnej samotności poszukać przyczyn niesamowitej przygody.

Tu wyjaśnię rzecz zresztą znaną, że wesz ptasia dla ludzi nie jest groźną. Człowiek bowiem, z powodu niższej ciepłoty ciała i wystarczającej odporności skóry, nie może dla niej być żywicielem i pasożyt ten, dostawszy się nań — w krótkim czasie musi zginąć nieuchronnie. Nim to jednak nastąpi, po masowem opuszczeniu stygnących ptaków — łazi, drażni i dokuczliwie łaskocze!...

...Porwawszy moje kuropatwy, śpieszyłem ku domowi, stwierdzając radośnie, że piękny jest świat nawet w kroplach łączącego się w strugi dżdżu wieczornego!...

DR. JAN PODGÓRNY

U PANÓW NIEMOJEWSKICH

Wszyscy, którzy znali śp. Sergjusza Niemojewskiego, kochali go i cenili, jako człowieka o wielkiem sercu; ci, którzy nie znali osobiście, musieli uznać jego zasługi na polu hodowli konia szlachetnego oraz w dziedzinie łowiectwa. Staropolską gościnnością i polowaniami z psami zasłynęły na całą Polskę dobra Włoszczowskie, Olesznieńskie, Wolskie i Lasocińskie.

Po jego śmierci trzej synowie Pana Sergjusza, Konrad, Edward i Józef, godnie podjęli tradycje ojcowskie i, z zamiłowaniem prowadząc wzorową gospodarkę rolną, hodowlę koni i ryb, na chwilę nie zapominali o racjonalnej gospodarce łowieckiej.

Niestety, jeden z tych braci, Edward — zginął cztery lata temu, jak żołnierz na posterunku, w potyczce z kłusownikami, których loftki przecięły nić młodego, a tak pełnego zasług życia.

Tereny majątków pp. Niemojewskich leżą w Ziemi Kieleckiej i znakomicie nadają się dla celów łowieckich; las mieszany iglasto-liściasty stanowi 85% całego obszaru, reszta — to ziemie orne, stawy z ogromnym nakładem urządzone, łąki, wreszcie bagna nie do przebycia — raj wszelkiego błotnego ptactwa, które tu w wielkich ilościach przebywa i gnieździ się. Jednego tylko wieczora Pan Konrad N. zabił na sadach 190 kaczek w niespełna półtorej godziny.

Wśród wielkich borów i cichych ostępów trzymają się zagajników i pól i rozmnażają się jelenie, dziki, sarny, zające, króliki, bażanty i kuropatwy. Niema jednego pola, aby nie było na niem remizy dla drobnej zwierzyny, którą się karmi cały rok. Wśród zagajników, na zoranych linjach zasiana jest seradela i sypany poślad — w lasach wystawione paśniki dla jeleni i sarn.



P. Konrad Niemojewski przy ubitym przez siebie odyńcu.

Prócz tej stałej opieki trzeba podziwiać sprężystość służby leśnej, która w walce z kłusownictwem i wnykarstwem kładzie duże zasługi dla łowiectwa, tępi drapieżniki, koty i psy-włóczęgi. Dzięki tej ustawicznej racjonalnej opiece, zwierzyna ogromnie się rozmnożyła na terenach braci Niemojewskich, czego dowodem było zeszłoroczne polowanie. Na rozkładzie otrąbiono tego dnia 1900 sztuk zwierzyny.



Psy-dzikarze w Olesznie.

Poza polowaniem z naganką lasy Oleszna, Woli Świdzińskiej, Lasocina dają możność już tak dzisiaj rzadkiego polowania z gończemi na jelenie, dziki i kozły, a parę smyczy chartów, zachowanych dla tradycji, dają emocję uszczucia zająca na szybkich, pełnej krwi wierzchowych koniach. Oprócz sfory biglów, chartów, trzymają pp. Niemojewscy całe rzesze psów t. zw. „dzikarzy", wśród których znajdują się przedstawiciele wszelkich psich gatunków, ras, usposobień i temperamentów. Spotykamy wśród nich pokurcze buldogów z jamnikami, foksterierów z wyżłami, airedal'ów z dobermanami, chartów z poczciwemi Burkami podwórzowemi, wreszcie całą plejadę łańcuchowych różnokolorowych kundysów, niesłychanie przemyślnych i zaciekłych, podniesionych do roli li tylko łowczego psa. Wesołe, a jednocześnie niesłychanie zażarte towarzystwo ma swoje oficjalne pomieszczenia, doskonałą opiekę psiarczyków, a zjada przeciętnie konia tygodniowo.

Będąc osobiście wiernym gościem od wielu lat w progach pp. Niemojewskich, zazwyczaj miedzy wyprawą łowiecką do Afryki, Antyllów lub Polinezji, miałem możność korzystania z prawdziwej staropolskiej gościnności pp. N. oraz z tych jedynych w swoim rodzaju łowów, już dzisiaj tak rzadkich na terenie polskiej wsi, która z roku na rok się rozdrabnia i kurczy na parcelacyjne poletka i zagrody.

Gdy tylko świetnie wystylizowani strażnicy leśni dają znać o otropieniu dzika, odyńca, starego włóczęgi, co to często z dalekich lasów wędruje, lub też byka jelenia, co w czas rykowiska chadza światami, ogromne przestrzenie przebywając nocami, wnet ładują się psy na wózki, a myśliwi dosiadają wierzchowców i w zawrotnem tempie po wyboistych leśnych drożynach i przesmykach, po poletkach chłopskich, po trzesawiskach leśnych, pełnych dziur i wykrotów zdradzieckich, mkną wyznawcy św. Huberta na łów.

Ledwo przebrzmi daleki sygnał trąbki myśliwskiej strażnika, już rozlega się gon spuszczonych psów, wspaniała muzyka wielu głosów, zlewających się w jedną pieśń, tak pełną poezji dla myśliwego, który potrafi odczuć piękno przyrody oraz tego rodzaju łowów.

Zwierz roztropny używa całej swej przemyślności i wiedziony instynktem samozachowawczym często wydobywa się z matni. Myśliwi nie stoją twardo na oznaczonych stanowiskach (zazwyczaj przesmykach), lecz według zbliżającego się gonu zabiegają lub zajeżdżają gonionej zwierzynie drogę, albo, gdy chodzi o dzika, osaczonego przez psy, co się zaciekle broni,



Z polowania w Olesznie. 1.900 sztuk na rozkładzie!...

pędzą w kierunku umiejscowionego gonu, aby celnym strzałem zabić zwierza i przeszkodzić śmierci lub ciężkim okaleczeniom psów dziczemi szablami.

A gdy krwawe promienie zachodzącego jesiennego słońca zaleją purpurą ciche już lasy, bagniska i ostępy, wracają myśliwi po pełnym dniu emocji do domu, żegnani daleko rozbrzmiewającem tysiąckrotnem echem fanfary straży łowieckiej, otrąbiającej hejnał na cześć św. Huberta.

WOJCIECH MARYLSKI

Łatwe złego początki

W artykule „O pożyteczności i szkodnictwie dzika" w Nr. 27 „Łowca Polskiego" Pan W. K. staje w obronie zachowania, a nawet rozszerzenia terminów ochronnych dla dzików, uzasadniając ten pogląd głównie pożytkiem, jaki przynosi naszym drzewostanom obecność w lasach czarnej zwierzyny.

Godząc się w zupełności z poglądami Szan. Autora, pragnę ponadto zwrócić uwagę na konsekwencje wyłomów, czynionych w prawie łowieckiem przez sporadyczne nawet znoszenie terminów ochronnych, a co za tem idzie — usankcjonowanie tępienia pewnego rodzaju zwierzyny.

Wszyscy wiedzą, ile pracy kosztowało jeszcze przed wejściem w życie prawa łowieckiego spopularyzowanie w pewnych środowiskach zrozumienia, że zwierzynie należy się ochrona, że zabijanie zwierząt łownych w czasie noszenia i karmienia młodych jest barbarzyństwem, oraz że niezbędne są wysokie kary za przekroczenia w tej dziedzinie.

Obecnie w miejscowościach, gdzie Łowczowie Powiatowi dla świętego spokoju zgodzili się na tępienie dzików, rezultat wielu lat pracy nad wyrobieniem opinji o potrzebie szanowania zwierzyny jest stracony, gdyż primo — ta sama straż łowiecka, która przez szereg lat pilnowała nietykalności zwierzyny w czasie ochronnym, dziś zostaje użyta do tępienia karmiących macior i kaleczenia pięknych odyńców, do tępienia wogóle tego, co się doniedawna przed kłusownikami strzegło.

Secundo, że „apetyt przychodzi w miarę jedzenia", więc w tych samych okolicach (nader ubogich w drobną zwierzynę) ludność miejscowa, dla której wszystko, co nie jest krową lub świnią, jest szkodne i zbędne, wysyła do nadleśniczego lasów państwowych „delegacje", żądające obrony pól przed... zającami oraz odszkodowania za szkody.

Z chwilą zniesienia ochrony dzików o kłusownictwie przestano mówić, tak jak gdyby wszyscy kłusownicy wyemigrowali z okolicy. Należy przypuszczać, iż przy takiem przewartościowaniu pojęć los młodych sarenek, zajęcy, wszelkich piskląt i gniazd nie będzie godzien zazdrości.

Sądzę, iż z punktu widzenia myśliwskiego jest — w celu zmniejszenia stanu pewnego gatunku zwierzyny — jedynie dopuszczalny bardziej intensywny odstrzał w odpowiednim czasie, tępienie zaś czegokolwiek jest niewłaściwe i prowadzi do zdziczenia pojęć, a odrobienie szkody, powstałej w tej dziedzinie psychiki, będzie nader trudne.

AL. K.

*

Podzielając stanowisko Szanownego Autora, Redakcja musi zauważyć, że nawoływanie do znoszenia terminów ochronnych i urządzania polowań w czasie rozmnoży i wychowu młodzieży jest w jej rozumieniu działaniem pod wpływem impulsu, nieopartem na głębszej znajomości stanu rzeczy i możliwości łowieckich w tym czasie. Dziki wyrządzają szkody. Cóż prostszego, jak rzucić hasło: — wytłuc dziki! Znamionuje to także naiwną wiarę we wszechpotęgę myśliwych, których wystarczy wysłać do kniei, aby „wybili" wszystko, co potrzeba.

W istocie jednak jest cokolwiek inaczej. Zwierzyna, o którą chodzi — dziki — po czarnej stopie otropić i znaleźć w obszernych kniejach się nie da i tylko w wyjątkowych wypadkach wyjdzie pod lufę stojącego na stanowisku myśliwego. A już w żadnym wypadku nie dadzą wypędzić się na linję myśliwych młode dziki. Przebywają one latem wraz ze staremi w największych gąszczach i bojąc się nieznanego niebezpieczeństwa, a także rozproszenia i pogubienia, przy najmniejszej trwodze, której sygnał daje najczęściej matka, przywarowują pod krzakami i za żadną cenę nie chcą pieczeństwa tylko uspokajający głos matki. Ta ostatnia również za nic nie chce opuścić miotu, który obrała za siedzibę dla siebie i swej rodziny, kręci się pomiędzy naganką, a dostawszy się poza nią, przystaje w najbliższym gąszczu, nasłuchując co się dzieje.

Przykładów takiej taktyki miałem w swej praktyce myśliwskiej dużo, a odmiennego postępowania nie widziałem. W 1937 roku w Nadniemeńskiem Kółku Łowieckiem, ulegając wezwaniom władz, urządzono w pierwszych dniach sierpnia dwudniowe polowanie na dziki. Zabito w ciągu dwóch dni — dwa odyńce; maciory z warchlakami nie widziano żadnej, a wogóle dzików przez te dwa dni widziano bardzo mało, choć ich nie brakowało w kniei. Polowanie było zorganizowane doskonale, naganki użyto bardzo dużo, sam koszt naganki i furmanek wyniósł przez te dwa dni przeszło 750 złotych, zaś wynik — owe dwa nieszczęsne odyńce.

Innym razem w tem samem kółku późną jesienią urządzono w dwanaście strzelb specjalne polowanie na dziki. Rezultat: w ciągu całego dnia nie padł ani jeden strzał do dzików, choć dzików nie brakowało w kniei, czego dowodem, że w dwa tygodnie później, po białej stopie, w ciągu jednego dnia dano pięćdziesiąt kilka strzałów do dzików i ubito kilkanaście.

Nic więc dziwnego, że kółka i właściciele terenów bronią się przeciwko nakazom urządzania w zupełnie niewłaściwej porze takich polowań, które narażają tylko na duże i zu-

pełnie niecelowe wydatki; pieniądze te bowiem daleko skuteczniej mogłyby być użyte na inne cele, choćby na pokrycie odszkodowań za szkody wyrządzone przez te same dziki, lub na urządzanie dla nich pólek hodowlanych, coby je w pewnym stopniu powstrzymywało od wychodzenia na pola włościańskie.

Polowania takie, prócz odrażającego dla każdego prawdziwego myśliwego i miłośnika przyrody niepokojenia zwierzyny w najbardziej niewłaściwym czasie i bardzo nikłych, zgóry dających się przewidzieć wyników, innych rezultatów nie dają.

Poważne wyniki i potrzebne zredukowanie liczby dzików, jak to słusznie podnosi Szanowny Autor, może dać tylko po myśliwsku, we właściwym czasie i warunkach urządzone polowanie.

W. W. G.

Gdańskie sztucery

W ubiegłym dziesiątku lat pojawiły się na naszym rynku t. zw. sztucery gdańskie, które po pewnym czasie zyskały sobie zupełnie dobrą opinję pomiędzy myśliwymi, jako broń dająca dalekie i precyzyjne strzały.

Szerszy ogół myśliwych może interesować, skąd właściwie pochodzi ta broń i dlaczego nosi miano „sztucer gdański".

Na mocy traktatu wersalskiego rządowa niemiecka fabryka karabinów w Gdańsku została przyznana Polsce. Maszyny rozmontowano i wywieziono do Warszawy. Były to podwaliny pod obecną Fabrykę Karabinów w Warszawie. W Gdańsku pozostały mimo wszystko pewne zapasy rozmaitych części składowych, które do Polski nie zostały wywiezione, natomiast Gdańsk posiadał dosyć broni na swoje własne potrzeby. Wtedy też zrodził się pomysł, aby z tych części zmontować broń, którąby: 1⁰ nie była uważana za broń wojskową, pomimo kal. 7,9, t. j. kalibru wojskowego niemieckiego; 2⁰ broń ta powinna była być tanią, ze względu na zapewnienie jej łatwego zbytu.

Otóż Gdańsk wypuszcza serję sztucerów, przerabiając je z pozostałych zapasów części składowych karabinów kawaleryjskich niemieckich, wz. 98, kal. 7,9, dając im następujące zmiany: 1⁰ przyrządy celownicze, a mianowicie celownik i muszka wojskowa, zostają zastąpione przez muszkę z krótką szyną i celownik skrzydełkowy myśliwski; 2⁰ łoże broni sięga do połowy lufy — niektóre sztucery są zaopatrzone w przyśpiesznik; 3⁰ wypuszczone sztucery nie posiadają na swoich częściach składowych jednolitej numeracji, które w przeważnej części są znaczone rozmaitemi numerami. Pozatem znika z nich cesarska korona oraz napis „Danzig", które zastąpiono skromnym napisem z boku osady zamka (gotykiem): „Gewehrfabrik Danzig".

Tak przerobiona broń używana była do celów sportowych.

Swego czasu władze polskie zatrzymały pewną ilość tej broni sportowej, która została skonfiskowana, a następnie rozsprzedawana w Cytadeli Warszawskiej oficerom i podoficerom.

Jasno więc wynika, iż każdy sztucer gdański jest niczem innem, jak fabrycznie przerobionym niemieckim karabinem kawaleryjskim, wz. 98, kal. 7,9.

Ale na tem nie koniec. Stworzywszy broń myśliwską, trzeba było stworzyć odpowiednią do niej amunicję. Amunicję myśliwską do tej broni wypuszczono na rynek jako kule 8×57. Amunicja ta znacznie różni się od amunicji wojskowej: 1⁰ jest staranniej wykonana, a następnie łuska amunicji myśliwskiej ma kryzę wystającą — w przeciwieństwie do amunicji wojskowej, która kryzy nie posiada. Pozatem amunicja myśliwska ma kule w półpłaszczu, zakończone półokrągło, podczas gdy amunicja wojskowa ma kule w pełnym płaszczu, ostro zakończone.

Jak na początku zaznaczyłem, sztucery gdańskie zdobyły sobie dobrą opinję. I słusznie! Broń sama w sobie jest udanym typem karabinu myśliwskiego, celność jest dobra, wykończenie i materjał może nie są w tak wysokim gatunku, jak to się spotyka w broniach myśliwskich — ale to nie jest ważne. Najważniejszą rzeczą jest celność, która w tym wypadku została całkowicie osiągnięta.

BROCHWICZ.

O odstrzale czworonożnych drapieżników

Poruszone w „Łowcu Polskim" z dn. 10 kwietnia r. b. przez p. Wł. Zabiełłę zagadnienie, odstrzału czworonożnych drapieżników, mianowicie niedźwiedzia, rysia, wilka i żbika, wymaga pewnych uzupełnień w odniesieniu do poszczególnych dzielnic. Już Autor artykułu wspomina o staraniach myśliwych na Kresach Wschodnich co do wprowadzenia czasu ochronnego dla wilka.

Wprowadzenie w życie czasu ochronnego dla wilka, jako powszechnie obowiązującego, musiałoby wywołać zasadniczy sprzeciw myśliwych dzielnicy południowo - wschodniej, polujących w Karpatach. Jeżeli wilk na Kresach Wschodnich jest zwierzyną, na którą poluje się w ten czy inny sposób, zwierzyną poszukiwaną przez myśliwych, gotowych wyrzec się dlań, a zarazem dla rysia, strzału do szaraka i rogacza, to w Karpatach sprawa ta przedstawia się zupełnie odmiennie. Wilk, jak i ryś zresztą, a im później, tem bardziej jest w Karpatach zwierzyną nieuchwytną, a spotkanie z niemi raczej przypadkowe.

Jeżeli porusza się sprawę odstrzału czworonożnych drapieżników, to trzeba jednocześnie odrazu zróżniczkować zwyczaje i możliwości dla obu dzielnic, posiadających zupełnie odmienne warunki, zwyczaje i możliwości odnośnie odstrzału czworonożnych drapieżników. Wilk w Karpatach jest zasadniczo niszczony przez myśliwego przy każdej sposobności, ale mimo to zdaje się zwiększać ilościowo. Sprzyja temu stale zwiększający się stan jeleni i sarn. Ale wilk jest niszczony zasadniczo przy pomocy trucizny, żelaz, a tylko przypadkowo w bezpośredniem spotkaniu z myśliwym. O jakiemś polowaniu nie może być mowy. Olbrzymie śniegi i trudności terenowe uniemożliwiają otropienie, ofladrowanie i polowanie w przeciągu jednego dnia. Jakkolwiek w lasach państwowych ostatnio postarano się o fladry, to jednak nie słychać, aby przy ich pomocy polowano, względnie aby się polowanie takie udało. Natomiast w Karpatach Wschodnich są zastawiane liczne żelaza.

Tutaj zaczyna się nieporozumienie. Otóż wilki najczęściej omijają pułapki, ofiarą padają rysie, o wiele mniej ostrożne, zdaje się głównie z powodu gorszego węchu. Jeżeli spotkanie z rysiem w Karpatach jest jeszcze trudniejsze i bardziej przypadkowe dla myśliwego, aniżeli z wilkiem, to jeszcze nie widzę powodu, aby właściwe było chwytanie karpackich „tygrysów" w żelaza. A jest tych wydarzeń każdej zimy sporo, przyczem kroniki zwykle milczą. Czas ochronny staje się naturalnie poezją. Sądziłbym, że należałoby szukać wyjścia, aby ryś mógł w Karpatach ilościowo swój stan zwiększać.

Wreszcie należy dla Karpat wprowadzić zupełnie inny czas ochrony, mianowicie umożliwić myśliwemu strzał do rysia wtedy, kiedy Karpaty są dostępniejsze i kiedy myśliwy w Karpatach poluje, to jest już od 15 września. Gdyby udało się ilościowo stan rysi podnieść, nie jest wykluczone, że możnaby na rysia w Karpatach polować podobnie, jak na nizinach. A trzeba mieć na uwadze, że ryś karpacki jest szczodrzej przez naturę obdarzony od nizinnego, futerko karpackiego zwierza jest piękniejsze.

Tymczasem na palcach można policzyć myśliwych, którzy ubili rysia w Karpatach, natomiast w żelaza chwyta się ich względnie sporo, a w każdym razie o wiele więcej, niż się strzela.

Jeżeli zatem wszczęta jest wymiana zdań o zastosowaniu pewnego zwyczaju przy strzale do czworonożnego drapieżnika, to trzeba uwzględniać różnice dzielnicowe, a jednocześnie dążyć do zmian w obecnym stanie, umożliwiających zarówno wykonywanie samego polowania, jak i rozwój zwierzostanów.

JERZY BŁESZYŃSKI.

MYŚLIWI
zbierajcie
wystrzelone
łuski na F.O.N.
i oddawajcie je Łowczym Powiatowym



Prof. dr. O. Bujwid: *„Wspomnienia zułowskie.* Kraków (1938), str. 31, 1 nlb. Cena 50 gr. Nakładem autora. Dochód przeznaczono na konserwację Zułowa.

Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, wielki uczony krakowski o światowej sławie, dr. Odo Bujwid, pamięta Zułów[1]) z przed 76... lat. Majątek ten znajdował się kolejno w posiadaniu spokrewnionych ze sobą rodzin Michałowskich, Billewiczów i Piłsudskich. Zarządcą tego majątku był ojciec prof. Bujwida. Tutaj też ujrzał światło dzienne Józef Piłsudski, późniejszy wskrzesiciel Polski. We wspomnieniach tych, które sędziwy Autor kreśli treściwie, żywo i barwnie, znajdują się też momenty łowieckie i sprawy interesujące myśliwych. Pragnę wspomnieć o nich tem chętniej, że są cennym przyczynkiem do pracy mojej p. t. „Epizody myśliwskie w życiu Marszałka Piłsudskiego", drukowanej w numerach 30, 32 i 33 „Łowca Polskiego" w 1935 roku[2]).

Zułów był ongiś dużym majątkiem, obejmującym około 8.000 ha, otoczonym wokół lasami, w których przebywał łoś, niedźwiedź i wilk. Cytuję słowa prof. Bujwida:

„Widzę przywiezionego łosia, którego olbrzymie rogi służyły mi potem do jeżdżenia na nich po posadzce bawialnego pokoju, niby na improwizowanych sankach, na których siedząc, pchałem je obydwiema rękami".

„Niedźwiedź w sąsiedniej leśniczówce udusił w nocy krowę. Pojechaliśmy tam z rodzicami, ażeby pocieszyć biedną gospodynię po tak wielkiej stracie. Jedyna to była żywicielka, dawała całej rodzinie codziennie tyle mleka, a teraz ona i jej dzieciaki zostały bez tego. Poczęstowała nas gospodyni plastrem miodu z barci w lesie, którą odkrył leśnik. Po raz pierwszy widziałem wtedy plaster miodu".

„Nie skarżyła się dłużej babina, tylko gorąco dziękowała ojcu memu na odjezdnem. Zapewne krowa, nie ta sama oczywiście, wróciła do obórki, bo takie sprawy często obijały się o moje uszy. Zwłaszcza częste były szkody od wilków, które w okolicach Zułowa w zimie licznie się pojawiały i niekiedy nocami dawało się słyszeć odległe wycie, na które zwracano moją uwagę. Dużo trzeba było udzielać wsparć pokrzywdzonym biedakom".

„Obławy na wilki były często urządzane i niejednokrotnie widziałem przed gankiem po kilkanaście wilków na rozkładzie".

Oczywiście polowania w tych zułowskich lasach pięknej Wileńszczyzny trwały przez szereg lat, tak że młody Ziuk Piłsudski urodzony 1867 r. mógł je widzieć, a napewno wzrastał wśród żywej tradycji łowów litewskich.

We „Wspomnieniach zułowskich" znajdujemy też ciekawy ustęp, w którym czytamy jak to przyszły prof. Bujwid[3]) spotkał się po raz pierwszy z wściekłym psem i to... myśliwskim. Ustęp ten brzmi:

„Nie mogę pominąć milczeniem wspomnienia o pierwszem mojem spotkaniu z psem, dotkniętym wścieklizną, co właśnie miało miejsce w Zułowie. Było tam zawsze dużo moich psich przyjaciół. Wyróżniał się wśród nich duży gończy pies Zagraj, który często przychodził za mną do pokoju dziecinnego i z tego powodu miałem utarczki z piastunką".

„Pewnego upalnego poobiedzia bawiłem się nad brzegiem Mery, pomiędzy kuchnią a oficyną, gdy przybiegł Zagraj i legł nad brzegiem koło mnie. Posłyszałem przestraszony krzyk i głosy: „Uciekaj, bo to pies szalony!". Tak nazywano psy wściekłe na Litwie".

„Pies objawiał oznaki niezwykłego zmęczenia. Widocznie był mocno zbiegany, dyszał ciężko, z pyska ciekła mu obficie zielona ślina".

— „Biedny mój Zagraj, co tobie? — pieściłem go, głaszcząc i tuląc do siebie jego głowę. Nie wiedziałem nic o niebezpieczeństwie, jakie mi groziło. Nie wiem jakim sposobem znalazłem się w pokoju na kanapie, otoczony przez najbliższych, którzy badali czy mi się coś nie stało".

A działo się to 76 lat temu, gdy wielki uczony liczył dopiero pięć lat życia. Spory to szmat czasu ubiegł... I dobrze się stało, że te „Wspomnienia zułowskie", związane tak blisko z Wielkim Marszałkiem, doczekały się tak artystycznego ujęcia i przyobleczenia w szatę drukarską.

Wreszcie niech mi wolno będzie złożyć Czcigodnemu Profesorowi głęboką podziękę za niezapomnianie chwile rozmowy na tematy myśliwskie, spędzone w Jego krakowskim gabinecie.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

[1]) A więc — Zułów — a nie „Zułowo„ jak mylnie nieraz autorzy podają. (Przyp. aut.).

[2]) Rzecz ta wyszła też oddzielnie, jako uzupełniona odbitka z 7 fotografjami. Warszawa 1936. (Przyp. aut.).

[3]) Prof. dr. O. Bujwid jest założycielem pierwszego w Warszawie (następnie w Krakowie) instytutu szczepienia wścieklizny, w którym zapoczątkował leczenie w Polsce metodą Pasteura osób pokąsanych przez wściekłe zwierzęta. (Przyp. aut.).

*

DZIKIE GĘSI I BOLSZEWICY

Przypadkowo trafiła mi do rąk książka (wydanie 1936 r.) sowieckiego autora A. I. Miniejewa pod tytułem *„Pięć lat na wyspie Wrangla"*.

Z ramienia władz sowieckich autor był w ciągu pięciu lat wszechwładnym naczelnikiem placówki kolonizacyjnej na wyspie Wrangla, zaczajonej wśród lodów dalekiego Arktyku. W swem dziele opisuje on właśnie przeżycia i działalność na tem odludziu.

Niemal na każdej stronicy A. Miniejew z patosem podkreśla wielkie kulturalne przeznaczenie Sowietów, no i naturalnie... swoje. Pomijam naiwność tego samochwalstwa i entuzjastyczne opisy sowieckiej gospodarki, której bluff i chaotyczność autor bezwiednie obnaża, posługując się językiem półinteligenta, naszpikowanym zaciemniającemi treść i niezawsze trafnie użytemi cudzoziemskiemi słówkami. Są tam jednak rzeczy ciekawe.

Jeden z rozdziałów jest poświęcony opisom czerwcowego „polowania" na... jaja dzikich gęsi.

Zbieranie jaj innego ptactwa wodnego, gnieżdżącego się masowo na wyspie Wrangla, autor, jako najwyższa władza sowiecka na wyspie, pozostawiał tubylcom-eskimosom. Sam, wraz z podwładnymi „towarzyszami", organizował całe wyprawy dla zbioru najwidoczniej smaczniejszych i więcej wartościowych jaj gęsich.

W czerwcu można jeszcze jeździć tam saniami, ciągnionemi przez psy. Z obozowiska wyrusza więc w różnych kierunkach kilka par sań w poszukiwaniu miejsc lęgowych.

Gęsie lęgi odbywają się gromadnie, w zacisznych miejscach tundry. Jak autor twierdzi, takie lęgowiska, na przestrzeni nieraz kilku kilometrów, bywają dosłownie usiane gniazdami gęsi.

Tu się dopiero zaczyna „polowanie" z bolszewickim zaiste rozmachem. „Polowanie" nie jest skomplikowane. Zbiera się bezkarnie jaja i pakuje się je do sań.

Zbiór kilkuset jaj jest uważany za „polowanie" nieudane. Dopiero liczenie jaj na tysiące staje się w tamtejszem pojęciu wynikiem pomyślnym.

Przytem autor nie krępuje się ubić w tym czasie trochę gęsi na pokarm dla siebie i psów.

Na swoje usprawiedliwienie A. Miniejew dodaje, że każda gęś znosi do 6 jaj i że jedno jajko zawsze kazał pozostawiać w gnieździe. Wówczas jakoby gęś powraca do gniazda, znosi jaja ponownie do poprzedniej ilości i dalej je wysiaduje.

Ile w tem prawdy, że gęś powraca do splądrowanego gniazda i czy rzeczywiście takie „polowanie", jako przejaw „wysokiej czerwonej kultury", nie rujnuje ilostanu gęsi — nie wiem. Nasi pastuszkowie, którzy również lubią, z braku gęsich, jaja kaczek dzikich — pewno wiedzą lepiej...

LEON KON.

*

Widokówki przyrodnicze, nakład Zjednoczonych Zakładów Kartograficznych i Wydawniczych Tow. Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych, Książnicy-Atlas, Sp. Akc.

Z prawdziwą przyjemnością zmieniam drugie słowo tytułu tego wydawnictwa i, pisząc o jego wciąż nowych edycjach widokówek krajoznawczych po raz czwarty, ostatnio otrzymaną do recenzji serję, składającą się z 94 sztuk pocztówek-fotografij Włodzimierza Puchalskiego — nazywam ją przyrodniczą, krajobraz w nich bowiem jest tylko tłem koniecznem, ujętem fragmentarycznie, lub nawet nie występuje wcale.

Tem niemniej z radością witam ten nowy nakład widokówek, tym razem w wielkim stopniu związany z łowiectwem i z umiłowaniem przyrody zwierzęcej wogóle. Sądzę również, że z tą samą radością powitają nową serję widokówek „Książnicy" nietylko wszyscy myśliwi, przyrodnicy, ochroniarze i miłośnicy zwierząt, lecz wogóle szeroki ogół powita tę pożądaną nowość popularnej, taniej, a wybitnie artystycznej widokówki otwartemi... portmonetkami.

My, myśliwi, znamy prace autora omawianej serji zdjęć fotograficznych z wielce chlubnej karty ilustratora czasopism łowieckich reprodukcjami wspaniałych zdobyczy w dziale łowieckiej fotografji, które to zdobycze trzeba postawić ściśle o b o k zdobyczy najpiękniejszych trofeów ze strzelbą w ręku.

A ponieważ znamy — tem radośniej witamy serję widokówek, które w znacznej mierze traktują tematy łowieckie.

Zróbmy mały przegląd tego plonu pracy myśliwego i turysty pur sang, plonu, podanego narazie — miejmy nadzieję — w pierwszej serji... Bowiem Włodzimierz Puchalski liczy swych zdjęć z działu łowiectwa na setki. Każde z tych zdjęć, to żywa natura — żywe zwierzęta łowne, lub inne, niekiedy poprostu o zakroju p o r t r e t ó w, wyłącznie na tle rodzimej ostoi, a więc przemawiających do nas najdobitniej. Z tego względu trudno jest mówić o tem, co piękniejsze i bardziej artystycznie wykonane. To też ograniczam się do wyliczenia zdjęć i do drobnych uwag, jako wrażeń subjektywnych.

Zacznijmy od żubrów: jest to jedno zdjęcie, zdaje się, Borusa obok jednej z krów w rezerwacie białowieskim. Potem są koziorożce (Capra ibex) — kierdel z sześciu sztuk na śnieżnem zboczu. Dalej dwa zdjęcia kozic na skalistych zboczach: cztery sztuki idące pod górę i znacznie większy kierdel zstępujący w dół. Jelenie znajdujemy na trzech zdjęciach: dwa są zimowe, przedstawiające duże stada — przy paśniku i w jego pobliżu — trzecie, to łania na tle gór, jesienią. Wreszcie sarny widzimy również na trzech zdjęciach: bliźnięta w godzinę po urodzeniu — to też są rozczulająco niemrawe! — wspaniały portret rogacza w scypule na tle góry i nieba, mocnego szóstaka latem na tle gęstwiny, w którą lada moment, zda się, pryśnie. Potem idą dziki: jeden na tle drągowiny, po czarnej stopie, zbliżający się na kulawy sztych, drugi na tle zimowej kniei, po ponowie i zadymce, oblepionej śniegiem aż het w górę — ten odyniec stoi prawie bokiem i pilnie wietrzy, zanim poweźmie decyzję, co dalej? Oba zdjęcia są kapitalne, choć powiem, że to drugie czyni wrażenie raczej obrazu, niż żywej natury... Doskonały jest lis, stojący wśród witek jakiejś wierzbiny, czy też suchego szuwaru. I wreszcie ciekawa scena (zdejmowana chyba z drzewa), przedstawiająca pięć łasic, jedna przez drugą chciwie szarpiących jakiegoś dużego ptaka, którego tłumnie prawie całkowicie przykryły.

Następują ptaki. Kulon stepowy, dwie fotografje stad gęsi, zdejmowanych pionowo w górze na tle nieba, krzyżówki — kaczka i dwa kaczory wśród oczeretów, zrywające się z toni jeziora łyski, pelikan — świetny portret, mewy: lecące stadem i osobno trzy sztuki, przypominające eskadrę samolotów, żóraw, brodząca czapla siwa na dwóch zdjęciach na tle ładnego krajobrazu. Następuje szereg zdjęć bociana (7), którego widzieliśmy w wykonaniu bardzo wielu fotografów-amatorów, lecz tu mamy do czynienia z prawdziwemi portretami, a trzy zdjęcia bociana w locie są istotnie bezkonkurencyjne. Dalej mamy prześliczną serję z gołębiarzami (14 zdjęć), w której dwa razy widzimy samicę przy młodych na gnieździe, dwa razy pisklęta wspaniale sportretowane, potem szereg zdjęć młodych w puchu i t. d. z biegiem płynących tygodni, wreszcie zupełnie wypierzony egzemplarz młodego i starego gołębiarza na gałęzi z upolowaną wroną; to ostatnie zdjęcie trzeba zaliczyć pod każdym względem do rzadszych zdobyczy sztuki fotograficznej. Ciekawe jest gniazdo błotniaka z czterema w niem jajami, wyszukane wśród gęstych oczeretów, bardzo ładny krajobraz stanowi myszołów na kopicy siana, kapitalne są cztery fotografje pustułki w powietrzu, doskonałe portrety sokołów: kobuza i kobczyka.

Niepodobna nie zachwycić się całą serją sów (10 zdjęć), z której może najciekawszy jest dla myśliwego portret sowy uralskiej, niezmiernie interesujące, charakterystyczne i pełne „wyrazu twarzy" kilka zdjęć sów uszatek, dwa zdjęcia puszczyka: na gałęzi i w dziupli, wreszcie śliczny wieczorny krajobraz z sową w locie i gniazdo sowy z jajami.

Dalej idą wspaniałe trzy „portretowe" zdjęcia: dwa — młodych wron, jedno — srok, serja pięciu zdjęć z życia gawrona, bargiel-kowalik, pisklęta trznadla w gnieździe, gniazdo skowronka polnego, trzy kapitalne (znów „portrety") młodych szpaków: jedno siedzących na gałązce, dwa — wyglądających z dziupli, dwa zdjęcia gniazda z pisklętami pokrzewki ogrodowej, dwa kosa na gnieździe.

Osobny dział stanowią niezwykle ciekawe i wysoce artystycznnie wykonane dwa zdjęcia gacka-wielkoucha: w locie i zawieszonego na drzewie.

Florę dziką reprezentującą jeszcze cztery prześliczne zdjęcia biologiczne kwiatu passiflory, przedstawiające jego rozwój.

Dodatkowo mamy jeszcze sześć zdjęć zwierząt domowych, z których wszystkie zasługują również na najwyższą ocenę: prześliczny krajobraz ze stadem czarnych owiec p. t. „Owce nad Dniestrem", kapitalny portret barana i cztery zdjęcia drobiu: gęsi i kaczek na wodzie oraz trzy — gęsi z młodemi na podwórku. Te ostatnie zachwycą specjalnie nasze panie, zamiłowane w hodowli.

Bilansując ten piękny plon, trzeba bardzo mocno podkreślić, iż wielką zasługą jest „Książnicy", że podjęła propagandowe wydawnictwo pocztówek łowieckich i przyrodniczych wogóle, a także wyrazić głębokie przekonanie, że niewątpliwie zyska ono niezwykłą popularność w najszerszych kołach korespendujących, a także zbierających pocztówki, nietylko jako nowość w swoim rodzaju, lecz jako nowość bez zarzutu, artystyczna, o wartości również dydaktycznej.

Ponieważ w liście swym do mnie „Książnica" pisze: „Miło nam donieść, że życzenie W. Szan. Pana, wyrażone w recenzji zamieszczonej w „Łowcu Polskim" z dnia 20 marca b. r. mogliśmy, przynajmniej w części, spełnić..." uważam za swój obowiązek, w imieniu ogółu myśliwych, zakrzyknąć: mało! mało!

Podobnej wartości zdjęć posiadamy dużo, dużo więcej, a zarówno jak do krajobrazu, również w tym dziale trzebaby koniecznie powołać i innych znanych autorów fotografji przyrodniczo-łowieckiej, jakoteż pięknych krajobrazowych zdjęć o tematach scen myśliwskich — że wymienię tu pp. Włodzimierza Korsaka, Antoniego Wiśniewskiego, Wł. Wysockiego, M. Borowskiego, A. Dobrskiego, a zresztą nazwisk tych jest o wiele więcej, choćby tylko uciekając się w wyborze do nagrodzonych i odznaczonych autorów na dorocznych konkursach fotograficznych „Łowca Polskiego".

Jednocześnie jednak z tem nowem życzeniem pod adresem wydawcy, uważam za swój równie ważny obowiązek jaknajgoręcej zachęcić wszystkich współbraci z pod Hubertowego sztandaru do zakupu tych pięknych i tanich „widokówek", zwłaszcza o tematach łowieckich, i do szerokiego używania ich w korespondencji prywatnej, celem czynnego współdziałania tą drogą ze związkową Komisją Propagandową w popularyzacji łowiectwa wśród całego społeczeństwa.

Chętnie ujrzą je również nasi milusińscy, a „gwiazdka" się zbliża...

WŁ. Z.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ

DEUTSCHE JAGD

Nr. 29/1938, str. 519. Strach. *„Prawo łowieckie na angielskim obszarze mandatowym Tanganyika"*.—Autor, pełniący obowiązki zawodowego myśliwego w Tanganyika (professional big game hunter), z urzędu towarzyszącego wyprawom myśliwskim, przybywającym z Europy czy Ameryki, prostuje mylne informacje o rzekomo sprzecznych z etyką myśliwską wyczynach podobnych wypraw. Po objęciu mandatu nad Tanganyiką władze angielskie wydały surowe przepisy, nietylko formalnie regulujące polowania na tym terenie, ale i ściśle przestrzegane. Przewidują

one trzy rodzaje kart łowieckich: t. zw. wielka karta łowiecka, wydawana stale zamieszkującym kraj myśliwym, w tej liczbie myśliwym zawodowym oraz myśliwym-plantatorom; mała karta, wydawana ludziom osiadłym w kraju i prowadzącym własne przedsiębiorstwa; wreszcie t. zw. „Visitor-licence", przyznawana gościom, przybywającym z zagranicy. Każda z tych kart przewiduje ściśle ile i jakiego gatunku zwierzyny może myśliwy odstrzelić w ciągu roku. A więc posiadaczowi wielkiej karty przysługuje prawo odstrzału 2 nosorożców, 4 hippopotamów, rzadszych antylop, jak kudu, oryks, eland — po 4 sztuki, antylop pospolitych, jak krowich, gnu, zebr czy Tompsona — po 30 sztuk, żyraf — 1 sztukę. Mała karta eliminuje zupełnie odstrzał gruboskórców, żyraf i antylop rzadszych, ograniczając prawo odstrzału tylko do antylop pospolitych, służących przeważnie do przekarmienia pracujących na plantacji czy w przedsiębiorstwie murzynów. Uprawnienia karty łowieckiej, wydawanej myśliwym zagranicznym, zależne są od umowy, naogół jednak obejmują one prawo odstrzału tej samej zwierzyny, którą wymienia karta łowiecka. Pozatem może być przyznane prawo do ubicia najwyżej dwóch słoni za dodatkową opłatą 400 sh. za pierwszą sztukę i 600 sh. za drugą. Odstrzałowi podlegają tylko samce o kłach wyrośniętych, posiadających nie mniej 50 kg. wagi. W razie ubicia sztuki mniejszej, kły ulegają konfiskacie. Za ubicie zaś samicy słonia winny płaci karę do kilku tysięcy marek, a towarzyszący mu myśliwy zawodowy traci posadę. Przy innej zwierzynie ubita samica liczy się za 2 sztuki. W razie udowodnienia, że uczestnicy wyprawy używali reflektorów dla oślepiania zwierzyny w nocy, względnie dopędzali zwierzynę samochodem i strzelali do niej w biegu z samochodów, podlegają oni również karze pieniężnej, a towarzyszący im myśliwy zawodowy usuwany jest z posady.

J. G.

DER DEUTSCHE JAEGER.

„Maksymalne ceny na zwierzynę w okręgu górnego Dunaju".

W związku z rozciągnięciem na Austrję przepisów łowieckich, obowiązujących w Niemczech, ogłoszone zostały górne granice cen za zwierzynę, których przekroczenie pociąga karę. Ceny te stosowane być mają w handlu detalicznym za produkty pierwszorzędnej jakości.

Nazwa dziczyzny	Cena w RM	
	dla kupców loco stacja	dla spożywców
Zając w skórze lub bez, za sztukę . .	3.	3.80
Comber zajęczy, za 1 kg	—	1.30
Skoki z łopatkami, za 1 kg	—	1.
Młody zając, za 1 kg	—	0.80
Sarna w skórze, za 1 kg	1.10	—
Comber sarni, za 1 kg	—	2.50
Łopatka, za 1 kg	—	1.80
Sarnię, za 1 kg	—	0.80
Jeleń w skórze, za 1 kg	0.90	—
Polędwica, za 1 kg	—	3.00
Łopatka, za 1 kg	—	2.00
Cielę, za 1 kg	—	0.80
Bażant-kura, za sztukę	1.50	1.90
Bażant-kogut, za sztukę	1.80	2.30
Kuropatwa młoda, za sztukę	0.80	1.00
Kuropatwa stara, za sztukę	0.60	0.80

J. G.

WYSTAWA HISTORYCZNEJ POLSKIEJ GRAFIKI MYŚLIWSKIEJ.

W ciągu bieżącego roku już po raz drugi obdarza nas Wielkopolskie Muzeum, a raczej w grafice myśliwskiej rozkochany jego kustosz, Dr. Alfred Brosig, wystawą grafiki myśliwskiej i to po styczniowej wystawie n a j n o w s z e j grafiki myśliwskiej, obecnie dnia 5 listopada otworzono wystawę polskiej h i s t o r y c z n e j grafiki myśliwskiej. Jako rok końcowy retrospektywności określono r. 1905.

Wystawcami są: Józef Wł. Kobylański, reprezentowany największą ilością eksponatów, bo na wystawionych ogółem 253 sztuki, jego własnych jest 203, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Inż. Przybylski i Fr. Zygarłowski.

Przytłaczającą większość stanowi grafika reprodukcyjna, zaś grafika artystyczna jest minimalnie reprezentowana. Potwierdza to tę znaną zresztą wszystkim interesującym się tą grafiką okoliczność, że właściwie dawniejszej artystycznej grafiki polskiej prawie niema, mimo że, o ile chodzi o malarstwo, to ono szczególnie w XIX-tym wieku czerpało wiele tematów z życia łowieckiego i stworzyło dużo rzeczy kapitalnych. Grafika zaś, z wyjątkiem niewielu prac Andriollego i Kossaka, specjalnie rysowanych dla grafiki, ograniczała się do grafiki łowiecko lub przyrodniczo użytkowej i reprodukcyjnej. Ile tworzono w tym kierunku malarsko, a następnie reprodukowano drzeworytniczo, świadczy zbiór p. Kobylańskiego, użyczony częściowo na wystawę.

Uważam, że wartość tej wystawy właśnie leży w tem, iż z jednej strony może zachęcić młodych artystów do skierowania swej twórczości w tym kierunku, a z drugiej strony może da przyjaciołom grafiki impuls do poparcia artystów.

Właśnie ta wystawa, a specjalnie jeden jej dział, reprezentowany przez 17 eksponatów p. Kobylańskiego, to jest zbiorek zaproszeń na polowania i wykazów rozkładu, mimo że pochodzą z bardzo bogatych łowisk, wykazuje jak mało wkładano w te rzeczy artyzmu; dzisiaj jest jeszcze gorzej. Przy skromnym zaś wkładzie finansowym i współpracy artysty z myśliwym dałoby się wiele w tym kierunku ładnego stworzyć.

Miejmy nadzieję, że przemawianie takiemi wystawami do artystów i do poczucia piękna ludzi, mogących coś w tym celu poświęcić, przyniesie pożądany plon.

S. M.

L I S T Y D O R E D A K C J I

Szanowny Panie Redaktorze!

Nawiązując do artykułu w „Kurjerze Warszawskim" z dnia 10.XI r. b. w sprawie ochrony ptaków, uważam, że jednym z największych szkodników i tępicieli śpiewających ptaków są wrony. Stałym jestem świadkiem, jak stada wron przez nikogo absolutnie nie tępione, a więc bezczelnie śmiałe, rzucają się na bezbronne sikorki i inne ptaszki śpiewające i wyjadają bezlitośnie pisklęta z ich gniazd. Z żalem widzę, że tych ptaszków jest coraz mniej.

Zwracam się do towarzystw opieki nad ptakami, żeby przyczyniły się do energicznego tępienia wron. Również zwracam się do Tow. Opieki nad Lasami, przypominając, że brak sikorek i innych ptaków śpiewających niszczy zupełnie drzewostan leśny.

Każde przedsięwzięcie w tej mierze będę chętnie popierać.

Z poważaniem
Z. A. KOSIŃSKA.

Zalesie-Las, p. Piaseczno.

DO WIADOMOŚCI FIRM HANDLOWYCH I PRZEMYSŁOWYCH ORAZ MAGAZYNÓW ARTYKUŁÓW I SPRZĘTU MYŚLIWSKIEGO.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO" W NR. 35 i 36 Z DN. 10 i 20 GRUDNIA R. B. POSTANOWIŁA ZAMIEŚCIĆ RUBRYKĘ P. T.

„WYKAZ ŹRÓDEŁ ZAKUPU ARTYKUŁÓW I SPRZĘTU MYŚLIWSKIEGO".

W ŁĄCZNOŚCI Z POWYŻSZEM REDAKCJA ZWRACA SIĘ DO ZAINTERESOWANYCH FIRM O NADSYŁANIE NAJPÓŹNIEJ DO DNIA 5 GRUDNIA (WZGL. 15 GRUDNIA) R. B. SWYCH ADRESÓW Z WYMIENIENIEM ARTYKUŁÓW SPRZEDAŻY, W CELU B E Z P Ł A T N E G O ZAMIESZCZENIA TYCH DANYCH W NAZWANEJ RUBRYCE.

Z WALNEGO ZEBRANIA POLSKIEGO ODDZIAŁU MIĘDZYNARODOWEGO T-WA OCHRONY ŻUBRA

W dniu 20 listopada r. b. odbyło się Walne Zebranie Polskiego Oddziału M. T. O. Ż., w którem udział wzięli Insp. M. Doubrawski z D. L. P. w Białowieży, Dyr. Inst. Bad. L. P. J. Hausbrandt, Dyr. Państw. Muzeum Zoologicznego Dr. T. Jaczewski, Kier. Oddz. Rezerwatów Inż. J. Kostyrko, Insp. Z. Krzymuski, Inż. W. Lindemann, Kpt. Romanow — jako przedstawiciel Ligi Ochrony Przyrody w Polsce, Dr. A. Rząśnicki, lek. wet. J. Paszkowiczowa lek. wet., T. Slósarski — kierownik Laboratorjum Biologicznego w Białowieży, Dyr. K. Szczerkowski— Dyr. Poznańskiego Ogrodu Zoologicznego, J. Szpotańska i Dyr. Warszawskiego Ogrodu Zoologicznego, Prezes Polskiego Oddz. M. T. O. Ż. Dr. J. Żabiński.

Na Przewodniczącego zebrania obrano Insp. M. Doubrawskiego, na Wiceprzewodniczących — Dyr. J. Żabińskiego i Dyr. T. Jaczewskiego. Protokółował Inż. W. Lindemann.

Nie będę się wdawał w szczegóły dyskusji i ograniczę się tylko do podania najbardziej interesujących danych. Polski Oddział M. T. O. Ż., ideowej organizacji, której duchowym twórcą był ś. p. Jan Sztolcman, albowiem jemu zawdzięczamy powstanie idei ochrony i odrodzenia żubra, liczy obecnie 40 członków indywidualnych, w czem 2 honorowych i 8 zbiorowych (instytucyj).

Znamiennem jest wybitne usamodzielnienie się Polskiego Oddziału od wpływów Organizacji Centralnej, mającej swoją siedzibę w Niemczech. Śmiało możemy stwierdzić, że pod względem planowości i celowości poczynań hodowlanych jesteśmy obecnie na pierwszem miejscu w świecie, ponieważ ściśle przestrzegamy racjonalnie obranych wytycznych. Rozporządzamy również doskonałym materjałem hodowlanym i najodpowiedniejszemi dla pomyślnego rozwoju tej hodowli terenami, które umożliwią w przyszłości przejście do prowadzenia jej na dziko. Dzięki posiadaniu przedstawicieli dwóch odmiennych typów — białowieskiego i kaukaskiego — dążymy do wyodrębnienia tych linij. Oprócz tego mamy t.zw. linję pszczyńską, która zasadniczo nie różni się od białowieskiej, gdyż żubry tamtejsze pochodzą od sztuk sprowadzonych z Białowieży. Obecnie linję białowieską reprezentują: 1 stadnik, 3 krowy i 2 jałóweczki — łącznie 6 sztuk. Linję kaukaską reprezentują 3 byki, 1 krowa i 5 jałówek — łącznie 9 sztuk. Do linji tej należą jeszcze 2 byki, znajdujące się w Smardzewicach, gdzie prowadzi się hodowlę mieszańców żubro-bizonów, przyczem byki mieszańce są eliminowane. Wreszcie w Pszczynie mamy 16 sztuk (bez tegorocznego przychówku), z czego 8 byków i 8 krów. A zatem żubrów czystej krwi posiadamy obecnie już przeszło 33 sztuki.

Ilość żubrów czystej krwi w Niemczech wynosiła na 1.I 1938 r. 35 sztuk, do czego dodać należy tegoroczny przychówek. Następnemi zkolei państwami, pozostającemi jednak znacznie w tyle, są: Szwecja — 8 sztuk i Holandja — 8 sztuk. Należy przytem zaznaczyć, że żubry w Szwecji są przeważnie potomstwem 2 krów, pochodzących z obecnej hodowli białowieskiej. Ogólny stan żubrów czystej krwi na 1.I 1938 r. wynosił 96 szt.

Jak już wyżej wspominałem, hodowla każdej z wyodrębnionych w Polsce linij będzie prowadzona osobno. Puszcza Białowieska, w której zwierzyniec żubrzy o obecnej powierzchni ca 60 ha zostanie powiększony, stanowić będzie ośrodek hodowlany wyłącznie dla żubrów czystej krwi białowieskiej. Żubry z domieszką krwi kaukaskiej przeniesione zostaną do nowoutworzonego zwierzyńca w Puszczy Niepołomickiej. W zwierzyńcu smardzewickim prowadzi się równolegle hodowlę żubrobizonów drogą chowu eliminacyjnego, uzyskując mieszańce coraz wyższej klasy (potomstwo żubra i bizona w pierwszej linii stanowi klasę I, następne krzyżówki II i t. d.) oraz bizonów czystej krwi. Mieszańców obecnie mamy 12 sztuk, z czego 9 krów, zaś bizonów 7 sztuk. (2 sztuki oprócz tego znajdują się w Ogrodzie Zoologicznym w Warszawie). Byki mieszańce wraz z kilku krowami w najbliższej przyszłości mają być przeniesione do Puszczy Knyszyńskiej, będącej wielkim, całkowicie odosobnionym kompleksem. Żubry mieszańce będą tam hodowane na dziko, początkowo w dużem ogrodzeniu. Obecnie wyniki hodowli żubrów pozwalają nam mieć nadzieję na dalsze powodzenie tej akcji, gdyż przychówek uzyskujemy corocznie i wygląd wszystkich sztuk jest doskonały. Referat o obecnym stanie hodowli żubra w Polsce wygłosił Dr. T. Slósarski, poruszając w nim szereg ciekawych zagadnień.

Pozatem, powracając do niektórych omówionych na zebraniu wniosków, nadmieniam, iż na rok 1939 ustalony został podczas zjazdu tegorocznego w Berlinie Zjazd M. T. O. Ż. w Białowieży. Zarząd P. O. zwróci się z prośbą do D. N. L. P. o zorganizowanie odpowiedniej, uświetniającej zjazd imprezy myśliwskiej. Organizacją zjazdu ma się zająć specjalna komisja, składająca się zarówno z przedstawicieli Zarządu Polskiego Oddziału M. T. O. Ż., jak również z przedstawicieli D. N. L. P. i D. L. P. w Białowieży.

Na zakończenie podaję, iż do Zarządu Polskiego Oddziału wybrano: Insp. M. Doubrawskiego, Inż. J. Kostyrkę, Insp. Z. Krzymuskiego, Dr. A. Rząśnickiego, Dyr. K. Szczerkowskiego i Dyr. Żabińskiego. W skład Komisji Rewizyjnej weszli: Dyr. J. Hausbrandt, Prof. B. Hryniewiecki i Dyr. Dr. T. Jaczewski.

INŻ. W. LINDEMANN.

Z DZIAŁALNOŚCI SEKCJI ŁOWIECKIEJ D. L. P. w Radomiu

Przed kilku tygodniami minął pierwszy rok istnienia Sekcji Łowieckiej pracowników Dyrekcji Lasów Państwowych w Radomiu, o utworzeniu której doniósł Nr. 3 „Łowca Polskiego" z b. r. Na dorocznem Walnem Zebraniu członków tymczasowy Zarząd, z przewodniczącym p. Inż. Edwardem Frankiewiczem na czele, został jednogłośnie wybrany i na rok następny, a zebrani złożyli Zarządowi serdeczne podziękowanie za energiczną i ożywioną działalność, która przejawiała się zarówno w dziedzinie organizowania częstych i udanych polowań, jak również i na polu krzewienia kultury łowieckiej.

Ogółem w ubiegłym sezonie łowieckim odbyło się sześć polowań zbiorowych na zające, przy udziale 6 do 14 myśliwych, na których ubito 159 szaraków, 4 lisy i 1 jastrzębia gołębiarza. Pozatem odstrzelone zostały przez członków Sekcji 2 kapitalne rogacze.

Posiadane przez Sekcję tereny leśne nie mają wybitnie dobrych zwierzostanów — to też Zarząd Sekcji czyni usilne starania w celu ich polepszenia. W tym celu wprowadzono ostatnio na łowach dodatkowe opłaty, wynoszące po 20 gr. od każdego zabitego zająca i po 2 zł od lisa, a zebrane tą drogą kwoty są przekazywane tytułem premji gajowemu, w którego obchodzie odbywało się polowanie. Sposób ten zachęca straż leśną do roztoczenia staranniejszej opieki nad powierzonemi jej terenami i powiększenia tą drogą ilości zabitych na polowaniu sztuk. Oprócz tego stosuje się na szerszą skalę tępienie wałęsających się psów i kotów, i dokarmianie zwierzyny.

Na skutek uprzejmości Państwowej Wytwórni Prochu w Pionkach, otrzymała Sekcja na własność maszynę do rzutków i 500 krążków. W lecie przyszłego roku ma być zakończona budowa strzelnicy Przysposobienia Wojskowego Leśników, a wówczas rozpoczną się stałe treningi strzeleckie, w których niewątpliwie wezmą udział liczni członkowie Sekcji.

Zaprenumerowane przez Zarząd czasopisma: „Łowiec Polski" i „Myśliwy" cieszą się dużą poczytnością na terenie tut. Dyrekcji i otrzymywane zeszyty krążą ustawicznie pomiędzy członkami Sekcji, co przyczynia się do rozbudzenia szerszych zainteresowań ogółu dziedziną łowiectwa i krzewi umiłowanie literatury łowieckiej.

Jako plon, uzyskany dzięki wpływowi prasy, wymienić należy ostatnią chlubną rezolucję, powziętą na wyżej wymienionem Walnem Zebraniu Sekcji, którą cytuję dosłownie:

„Sekcja Łowiecka przy P. W. L. Koła Radom, solidaryzując się z działalnością Polskiego Związku Łowieckiego, zwraca się z gorącym apelem do swych członków, aby udzielili tej organizacji czynnego poparcia, zapisując się w poczet jej członków".

W związku z powyższą uchwałą do dnia dzisiejszego 9-ciu członków Sekcji podpisało deklarację P. Z. Ł.

Rozpoczęty obecnie sezon zajęczy będzie dalszem ogniwem, skupiającem członków zarówno w kniei, jak i w codziennem życiu koleżeńskiem na terenie m. Radomia.

L. P. P.

ROZMAITOŚCI

ZDARZENIE, JAKICH MAŁO.

W dniu 21 lipca r. b. wyszedłem na obchód ochronny do lasu. Przebyłem już znaczną część obranej trasy, nie wiedząc o tem, że śladem moim gonił niezauważony zrazu przeze mnie jamnik, który niespodziewanie wymknął się z leśniczówki. O obecności jego w pobliżu mnie miałem się niebawem przekonać i to wśród dziwnych nieco okoliczności.

Otóż w chwili, gdy przechodziłem jedną z licznych w mym lesie kultur, porośniętą dość wysoką trawą, usłyszałem nagle rozpaczliwe i zawzięte krzyki kuropatw. Zaintrygowany, chcąc się przekonać, co było tego powodem, zbliżyłem się ostrożnie do miejsca, z którego mnie owe krzyki dochodziły. I oto co ujrzałem: na ziemi warował mój jamnik, a do niego nieustannie dopadały dwie stare kuropatwy, okładając go niemiłosiernie razami dzioba i skrzydłami. To, co się później okazało, potwierdziło również w całej pełni moje domysły.

Otóż o jakieś 5—7 metrów od „pola walki" znajdowało się stadko młodych kuropatw wielkości skowronka, do którego to właśnie owa para starych zawzięcie broniła jamnikowi dostępu. Nadmieniam jednak, że jamnik mój, który liczy już 6 lat, jest bardzo mądry i dokładnie obeznany z wszelką zwierzyną leśną. Dlatego też, zorjentowawszy się, że w tej chwili ma do czynienia ze zwierzyną łowną, nie wyrządził jej żadnej krzywdy, w przeciwnym bowiem wypadku, gdyby to były drapieżniki, z któremi już nieraz miał okazję się zetknąć, postąpiłby inaczej.

J. OLEJNICZAK, podłowczy.

KRONIKA MYŚLIWSKA



22 dziki i 1 lis — rozkład jednodniowego polowania w Albertynie, zorganizowanego przez Ksawerego M. hr. Pusłowskiego w dniu 1.II 1938 r.

— Dnia 19 listopada r. b. przy pogodzie pochmurnej, lekkim wietrze i temperaturze około 7° wyżej zera odbyło się doroczne polowanie na bażanty w dobrach Nosów, u państwa Franciszkostwa Wężyków.

Ubito w 6 strzelb: 15 kuropatw, 99 królików, 127 zajęcy i 368 bażantów-kogutów; łącznie 609 sztuk.

Biorąc pod uwagę, że Nosów leży w powiecie Biała Podlaska, gdzie warunki glebowe i klimatyczne nie sprzyjają drobnej zwierzynie, wynik osiągnięty przez pana Franciszka Wężyka jest naprawdę wspaniały i stanowi niewątpliwy rekord Podlasia, jeżeli uwzględnić opolowany areał i ilość strzelb. Staje się raz jeszcze niezbitym dowodem jak wiele znaczy doświadczenie hodowlane i zamiłowanie właściciela łowiska, oraz energja i sprawność wykonawców. ST. ROSENWERTH.

— W dniu 19 listopada r. b. odbyło się doroczne polowanie w maj. Radoszewnica u p. Michała Ostrowskiego, na którem ubito w dwóch ławach polno-leśnych w 12 strzelb — 1.808 sztuk, w tem zajęcy 1.046, bażantów 661, królików 46, kuropatw 49, różnych 6 sztuk.

W polowaniu wzięli udział (kolejność według zabitych sztuk) pp.: Konrad Niemojewski, Janusz Zdziechowski, Margr. Zygmunt Wielopolski, Józef Niemojewski, Margrabina Marja Wielopolska, Min. Jan Ciechanowski, Jan Biedrzycki, Leon hr. Komorowski, Paweł Kozłowski, Jarosław Tymowski, Stefan hr. Potocki i Zygmunt hr. Grabowski.

Rekord w swoim rodzaju osiągnął p. Konrad Niemojewski, mając na rozkładzie 421 sztuk, w tem do śniadania 332 szt.

— W dniach 9, 10, 12 i 14 listopada r. b. odbyły się w Głębowicach, w rew. St. hr. Dunina, polowania na bażanty, przyczem ubito razem 1.220 sztuk, w czem: 1 lis, 5 słonek, 736 bażantów, 410 zajęcy, 65 kuropatw, 1 królik i 2 jastrzębie. Najwięcej ubili: 1-go dnia A. hr. Starzeński — 60 szt., 2-go dnia A. bar. Götz-Okocimski — 83 szt., 3-go dnia A. hr. Starzenski — 33 szt., 4-go dnia W. hr. Tyszkiewicz — 29 szt. Ogólnie w cztery dni najwięcej ubił p. A. Szaszkiewicz — 194 sztuki. Polowano w 8 strzelb; pogoda dopisała.

TREŚĆ NUMERU:

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28; miesięcznie zł. 2,50. **Dla członków Polskiego Związku Łowieckiego:** za kwartał zł. 6; za pół roku zł. 12; za rok zł. 24; miesięcznie zł. 2. Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca 25 gr. Pocztowe Konto Rozrachunkowe Nr. 206, Warszawa 1.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł. **Agentom nie wolno pobierać zaliczek.**

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa